



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji, kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półroczcie 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Krzyżowe drogi. Powieść składana w listach czterech autorów. — Korespondencja z Paryża. — Ustęp z życia meksykańskiego, (zdarzenie prawdziwe). — Pogadanka tygodniowa. — Wiersz. — O jubiorach damskich.

KRZYŻOWE DROGI

POWIEŚĆ

składana w listach czterech autorów.

Paul Girardin	Irena de Chateaudun
Teofil Gautier	Edgar de Melhlan
Juliusz Sandeau	Rajmund de Villiers
Méry	Roger de Monbert.

LIST I.

DO PANI WICE-HRABINY DE BRAIMS

w Grenoble.

Paryż 16 Maja.

Jesteś wyborną wrózką, kochana Walentyno! Wszystko co przepowiedziałaś sprawdziło się, a dzięki temu niepoprawnemu charakterowi, znajduję się w położeniu najfalszyszym, które zdrowym rozsądkiem a sercem rozmarzonym sama sobie przygotowałam.

Postępowałam z tobą zawsze szczerze, bo z natury taką jestem, a potem z przekonania, że oszukać cię byłoby niepodobieństwem, bo nieraz widziałam jak jednym spojrzeniem naprowadzałaś na drogę szczerości, tych, co może tylko ze wstydu lub dumy chcieli prawdę ukryć przed tobą. Opowiem ci więc całe moje zmartwienie, rady twoje mogą mi jeszcze zbawić. Ty jedna może pojmiesz że nie jestem smieszna, czuję się nieszczęśliwą z wypadku, który świat cały za szczęście uważa. A więc, dzięki jakiemuś dziwnemu fatalizmowi, jestem narzeczona...

O wielki Boże!.. więc rzeczywiście zdecydowałam się oddać rękę księciu de Monbert! Gdybyś знаła tego młodego człowieka, śmiałaś się z przerażenia z jakim udzielał ci tę wiadomość. Pan de Monbert, jest ze wszystkich młodych ludzi znajdujących się w Paryżu, najdowiecipniejszy i najprzyjemniejszy: jest szlachetny, poświęcający się, wspaniałomyślny, jednym słowem zachwycający — i kocham go! On jeden mnie się podoba, nudzę się śmiertelnie gdy go nie widzę — w jego obecności wszystko mnie bawi całymi godzinami, słucham go mówiącego, wierzę jego zdaniu, uznaję z dumą: jego wyższość niezaprzeczoną, szanuję go, uwielbiam i powtarzam raz jeszcze... kocham.. Pomimo to, przyrzeczenie oddania mu całego życia, przeraża mnie, i od miesiąca ta myśl mnie prześladowa, aby opóźnić to mał-

żeństwo którego sobie tak życzyłam, i uciec od człowieka, którego wybrałam!.. Niepokoję się, badam me serce, wspomnienia i marzenia, zapytuję siebie bezustannie, co może być powodem tej dziwnej niepokojności, na wytłumaczenie której, niepodobna mi jest znaleźć przyczyny innej, jak tylko wybryki poetyczne, którychby nawet exaltacja niemiecka nieprzypuściła, a które ty mnie wybaczysz bo mnie kochasz — ulitujesz się nademną, bo cierpię, chociaż cierpienia moje są szaleństwem. Czy uwierzysz kochana Walentyno, że dziś czuję się godniejszą pożałowania, jak w dniach nędzy i opuszczenia. Ja co z taką odwagą znosiłam przeciwności losu, czuję się słabą i drżącą, gdy tenże stał się dla mnie świątynią. Ta przyszłość szczęśliwa za którą jestem odpowiedzialną, przestrasza mnie więcej, aniżeli przed niedawnym czasem prześladowała mnie troski, którym się poddać musiałam. Niedostatek to ma w sobie dobrego, że ścieśnia polot naszych myśli i nie pozwala rozwijać się w całej pełni cierpieniom moralnym. Kto umiał zapanować nad burliwością swego charakteru, ten przyjmuje z poddaniem cierpienia zewnętrzne, uważając je jako środki zbawienne, przeciw chorobliwym usposobieniom rozbijając je imaginacją. Mówię to z całą wiarą, bez filozofii komicznej. Nie ubolewam w pięknym salonie hotelu de Langeac nad stratą mojej stancyjki w Marais, gdzie pracowałam niezmordowanie noc i dzień, parodując sztuki najszlachetniejsze, zajmując się literaturą karmelkową, oraz malowidłem szyldowem. Jest to praca bez godności, przy której cierpliwość i odwaga stają się śmiesznością, jest to gorzka rozrywka, połączona ze łzami, gra straszna dla podtrzymania życia z przekleństwem grota... Nie — bynajmniej nie żałuję, ale lenistwa umysłu w którym mnie pogrążyła ta praca pospolita. Wtedy to nie miałam nad czym się zastanawiać, studiować drugich, wybierać, zmieniać, bo trzeba było na ślepo iść drogą jedną i tą samą z dnia na dzień. — a gdy jeden z nich był pomyślny, gdy zdołałam skopjować, przebrakować, albo ułożyć z jaką setką napisów, jeżeli miałam dosyć karminu, kobaltu, do koloryzowania nędznych wzorów mody, które trzeba było oddać na jutro, jeżeli mi się udało wynaleźć jakie nowe wzory do haftu, byłam zadowolona, i pozwalałam sobie wieczorem na odpoczynek najniedorzeczniejszych marzeń. Wtedy marzenia, były dla mnie rozrywką, dzisiaj są jedynym moim zajęciem, a podobne zajęcia gdy całkowicie opanuje, staje się niebezpiecznym.

W biedzie i niedostatku, dobre myśli nieraz mnie nawiedzały, w szczęściu męczą złowieszcze przeczu-

cia. Niepewność przyszłości, czyniła mnie panią wypadków. Mogłam codziennie roić o innym przeznaczeniu i innych okolicznościach. To nagłe i nieprzewidziane nieszczęście było tak zupełne, że po niem mogłam się tylko spodziewać pociechy, tak że czułam już nawet wdzięczność za pomoc nieznaną, której czekałam z całą ufnością. Spędzałam często długie godziny, wpatrując się w oddalone światło, które błyszczało w okienku czwartego piętra naprzeciw mego mieszkania. Jakież dziwne tworzyłam domysły, wlepiając oczy w tę lampę tajemniczą! Przechodziły mi niekiedy na myśl, poetyczne pytania Childe-Harolda, gdy tenże zwrócony do grobowca Cecylji Metelli, zapytuje martwego kamienia, czy ta co pod nim spoczywa jest młodą i piękną kobietą, z profilem czystym, okiem czarnym, i czy niebo dało jej przeznaczenie jakie zachowuje tym których ukochało, — śmierć przedwczesną? lub czy to była szanowna matrona o białych włosach, która przeżyła wszystkie swoje wdzięki, przyjaciół i dzieci swoje!.. Ja także badałam to światło melancholijne, pytałam go, jakiej istocie zasmuconej użyć pomocy: czy matce, która z niepokojnością czuwa nad kolebką zagrożonego dziecięcia, czy też pracowitemu młodzieńcowi, zatapiającemu się z całą namiętnością w tajemnice nauki? Jeżeli poeta badał z całym zajęciem przeszłość i śmierć, ja badałam życie, i zdawało mi się nieraz że światło odpowiada.

W końcu doszłam do przekonania, że owa pracowita lampa porozumiewała się z moją i czekała sygnału żeby się zapalić i zgasnąć. Zastaniały mi ją gęste gałęzie drzew. Wielki ogród wysadzony topolami, lipami i świerkami, oddzielał dom do którego się schroniłam, od wysokiego domu, którego ostatnie okno oświecało się dla mnie co wieczór, a że nigdy nie miałam daru rozpoznawania miejscowości, nie wiedziałam na której ulicy był ten dom i gdzie front jego wychodził, nie wiedziałam też kto go zajmował, jednakże czułam że światło to było dla mnie przyjacielskiem. Czułam że przemawiało do mnie ze współczuciem w tych słowach: „Odwagi! nie sama cierpisz: po za temi drzewami i pod temi gwiazdami naprzeciw ciebie, równie ktoś czuwa, pracuje i marzy!“ A kiedy noc była piękna i wspaniała, kiedy księżyc ukazywał się w lazurach, jak promienna Hostja zesłana ręką niewidzialnego Boga wiernym modlącym się, jęczącym lub umierającym, wtedy czułam się porwaną owym dolegliwym uwielbieniem sere samotnych, znajdujących boleść nawet w radości, gdy tej nie mają z kim podzielić. Zdawało mi się, że jakiś głos ukochany towarzyszył mi w owym gwałtownym zachwyceniu i wołał z zapaleniem „piękna

nocy! jak słodko wspólnie się tobą zachwycać! — Czasem też, kiedy słowik oszukany ciszą tego ustronia i cieniem drzew, przybywał na dni kilka odmłodzić swym śpiewem wiosennym, stare echa okolicy, zdawało mi się iż tenże sam głos, oznajmiał mi jego przybycie, odzywając się z pomiędzy drżących liści. I smutne moje noce mijały szybko, wśród tych marzeń niedorzecznych. Często także wywoływałam ów drogi ideał, ukochane widmo opiekuna wszystkich dusz prawych, owo senne marzenie, które przenosiłam nad wszystko. Była to miłość zazdrośna co często broni od innych uczuć!... O mój piękny ideał! trzeba cię więc pożegnać! już cię nie mam prawa przyzywać!

Wspomnienie owego ideału miesza mnie jakby jaki wyrzut, czyni mnie niesprawiedliwą, i niedozwala ocenić należycie przymiotów najszlachetniejszych. To dzieciństwo — szaleństwo, — lecz ci wyznam drogą Walentyno, że ten którego kocham... niepodobny zupełnie do mego ideału, i to zmniejsza moją miłość.

Kontrast jest uderzający, niepodobna ludzię się — osądzić sama. Postaram się być żartobliwą, ażebyś się nie gniewała na mnie. Otóż cała tajemnica moich zmartwień, leży w różnicy tych dwóch portretów.

Śmieję się więc i staraj się mnie zrozumieć. Ten którego kocham, ma ładne niebieskie oczy, pełne dowcipu i rozumu, mój ideał ma oczy czarne, pełne ognia, a jednak smutkiem zamglone. Nie są to owe wielkie oczy trubadurów, które mają powieki za długie i śpiewają zamiast przemawiać; nie, mój ideał nie ma spojrzenia romansowego, ani też zbyt czulego, jego wzrok jest pewny, dumny i głęboki, jest to wzrok myślący, czasem pałający miłością, wzrok bohatera bezbronnego, lub też geniuszu zaślepionego namiętnością.

Ten którego kocham jest wysoki i szczupły, mój ideał nie jest niski, ale nie mógłby być grenadjerem. Ten którego kocham jest otwarty i szczery, mój ideał nie jest obłudny, ale jest tajemniczy, nie wyjawia nigdy swęj myśli, ale ją pozwala odgadnąć: przelewa ją w nas tak, że gdy ją pochwytemy, spostrzegamy że myśl ta już dawno była naszą.

Ten którego kocham, posiada duszę prawą, godną wszelkiego zaufania, ideał mój jakkolwiek również wzbudza wiarę głęboką, otacza się dziwnym postrachem krępującym swobodę, godność jego powabna, słodycz imponująca, budzi jakąś bojaźń która nie jest bez powabu. Czy pamiętasz Walentyno, gdy będąc młodemi dziewczętami, zapytywałyśmy się nieraz czytając historię narodów i ludzi: jakie chciałybyśmy odgrywać rolę, jakich doznawać wzruszeń, jakie przechodzić koleje? Wybór mój oburzał cię zawsze — bo mojem marzeniem była śmierć z przestraszu! Nie zazdrościłam, jak wy wszystkie, owym sławnym bohaterkom, owym idealnym wzniosłym uczuciom pasterkom, zbawiającym ojczyznę, lecz pragnęłam losu cichej Estery, którą pozbawiał przytomności groźny głos Aswera, i tenże sam głos powracał ją do życia słowami gorącej miłości. A więc, jestem zawsze tą samą. Kochać i drzeć, o to moje marzenie! Nie jestem zdania pięknej pani de T. która zostanie nie wzruszoną dopóki nie napotka namiętności tygrysięj, zestawionej z powagą dyplomaty — ostateczności nie łatwo łączące się z sobą.

Niestety! ten którego kocham, nie wzbudza we mnie żadnej bojaźni — dla tego też nie ufam miłości tak różnej od tej jaką sobie wyobraziłam. Niepokoją mnie najdziwniejsze wątpliwości! Gdy Roger przemawia do mnie z czułością, gdy patrzy na mnie z całą słodyczą swego wzroku i nazywa swoją kochaną Ireną, trwożę się, nie śmiem mu tak samo odpowiedzieć bo zdradziłabym mój ideał... bo zdaje mi się nie jestem wolną, że innemu przyrzeczoną...

Nazwiesz zmartwienie moje urojeniem, żeby zaś mnie pożalować, trzeba mnie już dawno i bardzo kochać! Czuję sama moje szaleństwo, sędzę się surowo jakbyś to sama uczyniła, i cierpienia te przypisuję jakiemuś chorobliwemu usposobieniu umysłu.

Z tego powodu powzięłam zamiar wyjechać na jakiś czas na wieś. Dobra pani Taverneau zaprasza mnie do Pont de l'Arche, gdzie mi swojej gościnności i w tym roku chce użyć. Nic nie wie co zaszło od sześciu miesięcy, opowiada mi ciągle o biednej młodej wdowie, zmuszonej dla utrzymania życia, malować ekrany i wachlarze, jednym słowem, moją własną historję, nie domyślając się że przemawia do bohaterki owego romansu. Trudno mi odgadnąć kto jej udzielił tych wiadomości? Położenie

moje było tajemnicą dla wszystkich, a tło jej opowiadań jest jednak dosyć prawdziwe.

Młoda dziewczyna świetnego rodu, została sierotą w 20 roku życia. Nędza zmusiła ją do zmiany nazwiska i zagnęła do pracy dla utrzymania życia, ale straszny, nadzwyczajny wypadek, przywraca ją do dawniej świetności, traci bowiem jednego dnia trzy osoby pozostałe z jej rodziny, bogatego wuja, jego żonę i syna. Dodaje jeszcze, że ów wuj nienawidził swoją siostrzennicę, co dowodzi że jest dobrze zawiadomiona.

Co zaś do samej dziedziczki, utrzymują że jest strasznie brzydka. Nie jest to prawdą podług mnie, ale tu na prowincji utrzymują, że wszystkie dziedziczki są straszdył, tak mało tam jeszcze postępu. W domu pani Taverneau uchodzić będę za interesującą wdowę po Albercie Guerin, oficerze marynarki. Wdowieństwo niebezpieczne, które upoważniło panią Taverneau do niewczesnych i niestosownych względem mnie zwierzań. Nędza jest okrutną samodzielnością; niewiadomość, niewinność to zbyt cenna dla młodych, choćby najuczciwszych ale biednych dziewcząt. Jakieżże przytomności umysłu potrzebowałam przez trzy lata, ażeby dobrze utrzymać tę podwójną rolę.

Ileż to razy rumieniłam się gdy pani Taverneau mówiła: „biedny ten Albert! musiał cię uwielbiać!“ Ileż razy o mało nie parsknęłam śmiechem, kiedy chwalać przymioty mego męża, dodawała z boleścią: „Biedne dzieci! jakże ci boleśnie patrzeć na mnie i na Karola! Miłość nasza budzi w tobie smutne wspomnienia.“ Słuchałam tego wszystkiego z najzimniejszą krwią, nie zdradziwszy się ani razu. Mogłabym być doskonałą aktorką gdyby mnie komedia nie nudziła.

Bogu dzięki! będę mogła niedługo wszystkim prawdę wyjawić. Jutro wyjeżdżam z moją kuzynką do Fontainebleau, gdzie się zjedziemy z jej córką, potem wracam na jeden lub dwa dni, do mego skromnego schronienia, poczem udaję się do Pont-de-l'Arche. Co do mojej kuzynki, wyznaję ci że świat sądzi ją niesprawiedliwie. Mówiono mi tylko o jej śmiesznościach, miano mi za złe ściślejszy z nią stosunek, przepowiadano mi ciągle z nią sprzeczki, niezgody, a to wszystko bez żadnej zasady. Żyjemy z sobą jak najłepiej, i jeżeli nie wyjdę za mąż do przysięgłej zimy, hotel de Langeac, będzie miejscem mego pobytu. Roger nic nie wie o moim wyjeździe, będzie więc szalenie rozgniewany. Ale tego mi właśnie potrzeba, gniew jego objaśni mnie. Nie dowierzając sobie, chwytam się różnych sposobów, i te są takie: Miłość jest wtedy szczerą, gdy jest zniechęcaną, nie można poznać charakteru człowieka, który kocha z wzajemnością. Zastanów się dobrze nad tem. Miłość gwałtowna jest to hypokryzja mimowolna, miłość szczerą jest najczęściej zwodnicza. Czem więc kochamy tem więcej kłamiemy.

Pierwszy dowód uczucia, jest konieczna potrzeba poświęcenia, jest to marzenie serca prawdziwie zajętego, poświęcenie bez granic dla istoty ukochanej. A przecież nic przykrzejszego jak walka z własnem usposobieniem, jak zapanowanie nad swojemi skłonnościami. Kochając, jesteśmy zdolni zmienić się zupełnie. Jeżeli zakochany jest skąpy, dla przypodobania się będzie rozrzutnym, tchórz stanie się odważnym, zepsuty stanie się cnotliwym a to wszystko z wiarą i przekonaniem że się jest poprawionym, oczyszczonym, uszlachetnionym! Szczęśliwa ta zmiana będzie trwała przez cały czas żywionych nadziei... Ale jak tylko przekształcony pretendent, pozna bezskuteczność swęj pracy nad sobą, jak tylko głos nieubłagany zniechęcenia, szepnie mu wyrazy zatrzymujące wszystko w biegu, paraliżujące wszystkie zamysły oziębiające najczulsze serca. „Niepodobnieństwo! nigdy! nigdy!“ Zła i przewrotna natura, weźmie znów górę. Skąpy już nie uczuje potrzeby ofiary, tchórz będzie sobie z przestraszem przypominał, owe chwilowe pożyczanej odwagi czyni, będzie leczył blizny i drżał na samą myśl niebezpieczeństwa. Lekkomysłny, wyszodzi czyste obietnice miłości, wybaczy sobie czyny niegodne siebie; powie że kłamał i zyska własny szacunek... I wszystkie te tak starannie ukrywane wady, odezwią się na nowo jak bieg strumienia, który chwilowo był zatamowany i wszyscy z zapalem do dawnych porwóć nawyknięci; jak wygłodzony do pokarmu, — jak spragniony podróżnik do źródła — wygnaniec do ojczyzny — niewolnik do jarzma! Wtedy to łatwo dadzą się osądzić i należycie ocenić. Oto jest

moje zdanie o miłości. Badałam ją głęboko, a mając ufność w swoim przekonaniu, wystawiam się na próbę, która może być korzystną. Jestem na przykład pewną, że charakter jaki Roger przybrał dla przypodobania się mnie, jest tysiąc razy gorszy od właściwego mu, i bez wątpienia więcej mi się podoba, im mniej o to starać się będzie. A potem nie gniewam się widząc go trochę smutnym, gdyż jedyną jego wadą, jeżeli to można nazwać wadą, jest brak powagi!

Podróżował za wiele, za wiele rzeczy i obyczajów badał, ażeby mieć sąd samodzielny a takie nagromadzenie cudzych pomysłów i zasad sprzeciwia się według uznania niektórych, wyrobieniu w sobie własnego zdania. Przebiegłszy świat dziki i ucywilizowany, nabył rozmaitych i dziwnych wyobrażeń o religii, moralności i poczuciu honoru, to wszystko zrobiło go obojętnym i żartobliwym. Przyczynia się to bardzo do przyjemności jego osoby, ale uczucia jego tracą na godności. Roger do niczego wielkiej wartości nie przywiązuje; potrzeba koniecznie, aby wielkie zmartwienie dowiodło mu, że nie wszystko w życiu jest żartem! Mam nadzieję, że wiadomość o mojej ucieczce, zasmuci go mocno a może unieszczęśliwi. Zamierzam przyjechać, popatrzeć, na jego rozpacz, przepędzając dwa lub trzy dni Paryżu cichaczem w męj ukochanej stancyjce, która nie jest zajęta. Zrobię zatem sobie przyjemność zobaczenia własnemi oczyma, jak szanują moje wspomnienia. Będę obecną mojej nieobecności, — wszak to pomysł zupełnie nowy!

List mój zaczyna być nieskończonym; opowiadając ci o moich kłopotach, prawie o nich zapomniałam. Widzę w tem twój szlachetny wpływ kochana Walentyno, pisz więc do mnie, ratuj mnie radami swemi — jestem szaloną, przyznaję, ale jeżeli obłąkany jest dobrej wiary jeżeli sam prosi o lekarstwo, odmówić mu go nie można.

Ścisłam moją chrześniaczkę i posyłam jej na imieniny sukienkę haftowaną przybraną koronkami. O moja droga, z jakąż rozkoszą powróciłam do ulubionych koronek! Są one rzeczywiście oznaką wielkości — jedyne bogactwo prawdziwej wartości... piękne pałace są wygnaniem, diamenty ciężarem i kłopotem — rączę konie niebezpieczeństwem, ale koronki są naszą ozdobą i pociechą. Przyznaję teraz że mogłabym sobie odmówić wszystkiego, ale nie umiałabym żyć bez koronek! Tobie posyłam dla dogodzenia sielskim twym upodobaniom, cały wóz świeżych roślin, między którymi jest drzewo nowo aklimatyzowane, którego liście mają metr obwodu. Przybywa go 80 centymetrów na miesiąc a złośliwi utrzymują, że martwie w zimie, ale to potwarz. Żegnaj cię — czekając słowa pociechy.

Irena de Chateaudun.

Adres mój: Pani Albertyna Guerin u Pani Taverneau, w Pont de l'Arche w departamencie Eure.

LIST II.

DO PANA DE MEILHAN

w Pont-de-l'Arche.

Paryż 19 Maja 18...

Wszak to niezaprzeczona prawda, drogi Edgardzie: kiedy nam grozi niebezpieczeństwo, chronimy się pod skrzydła przyjaciela, tak jak szukamy dachu w czasie burzy. Oskoń mnie.

W dniach pomyślności nie pisałem do ciebie. Szczęście bywa zawsze samolubne. Obawiamy się także zasmucić przyjaciela, który mieć może i swoje troski, pocóż mu więc skreślać obrazy nieszczęścia domowych? Oto jest wytłomaczenie mego długiego milczenia.

Po tym wstępie, pomyślisz zapewne że się przechadzam po ulicach Paryża, z miną rozpaczliwą i w zaniedbanym ubraniu. Tak źle nie sędź. Mam za zasadę nie poddawać mego cierpienia oczom obojętnym, które częściej wyśmiewają jak okaza współczucie, a potem, wszystkie słowa pocieszające uważam za zniewagę męj dumy. Wszakże są cierpienia niezrozumiałe dla drugich, a słuchając opisu tychże, udają tylko że je pojmują. Niema zatem potrzeby opowiadać o moich chorobach każdemu, co chce uchościć za lekarza. Na tym bożym świecie jest pełno takich ludzi, których szczęście zasadza się na tem, żeby widzieć w koło siebie nieszczęśliwych. Niechęć zatem służyć za pociechę temu rodzajowi.

Od czasu zniesienia cyrków i amfiteatrów, ciekawi zabawiają się jak mogą. Szukają miejsc wygodnych z których by się mogli patrzeć na walkę chrześcijanin a z przeciwnościami. Każdy wiek cywilizowany, ma choć trochę dzikich obyczajów. Wiedząc o tem, chcę uchodzić w oczach publiczności za najszcześliwszego, wynalazłem hypokryzję zadowolenia; — twarz moja jaśnieje kłamstwem. Ciekawi próżniacy, co zalegają bulwary włoskie, niedomyślają się patrząc na mnie, gladiatora pożeranego ogniem wewnętrznym. Oszukuję wszystkich. Z pewnym nawet wstętem, i z tobą kochany Edgardzie, mówię o mych cierpieniach tajemniczych, lepiej może byłoby, żebyś o nich nie wiedział, lub sam je odgadł. A jeżeli się będę z nich tłómaczył, to dla tego tylko aby cię nie zostawić w błędzie, co do rodzaju moich zmartwień. A zatem, dla uspokojenia donoszę ci, że mój majątek nie stracił na długiej nieobecności. Za powrotem do Paryża, mój notariusz ołsniał mnie wykazem bogactw posiadanych. „Szczęśliwy młodzieńcze! powiedział, posiadasz znakomite nazwisko wielki majątek, zdrowie podróżnika zwrotnikowego, i lat trzydzieści.“ Rzeczywiście miał słusność. Gdybym zasadzał moje szczęście na tych warunkach, które wymienił notariusz, mógłbym się uważać za zupełnie szczęśliwego. A zatem co do strony majątkowej, możesz być zupełnie spokojny.

Nie sądz także, że mnie zasmuca utrata przyszłości politycznej i wojskowej. Miałem lat szesnaście i nie pojmowałem zupełnie rozpaczliwych słów mego ojca powtarzanych, każdego ranka. „Moje dziecię! przyszłość twoja stracona!“ Przyszłość człowieka jest w każdym szlachetnym zajęciu.

Jeżeli zostawiłem dekoracje wojskowe mych przodków w relikwiarzu domowym, mogę przekazać mym następcom inne klejnoty i zaszczyty. Odbylem dziesięcioletnią kampanję pomiędzy narodami całego świata, zyskałem wiele zdobyczy z tych wycieczek, nie ubrawszy żadnej matki w żałobę. Kładę się zatem wyżej jako zdobywca, od Cezara, Alexandra i Annibala, bo z pewnością przyszłość wojskowa nie byłaby mnie nigdy postawiła na równi z temi znakomitościami.

Ostatnia noc była dla mnie straszna, kochany Edgardzie, czegoś się zapewne nie domyślił, po żartobliwym wstępie mego listu!

Zobaczysz jakie to igraszki wyprawia nam życie, jeżeli się nie mamy na baczności, jeżeli na chwilę opuścimy ręce i zaniechamy walki jaką z niem staczać powinniśmy, od samej kolebki do grobu. Odbylem podróż daleką, cudowną! Zwiedziłem strony prawie nieznanne. Przechodziłem tysiące niebezpieczeństw. Słuchałem śpiewu syren i to wszystko bez szczególnego wrażenia! Wróciłem do Paryża, jak człowiek bez serca, bo ojczyzna nie wydała mi się drogą i godną miłości, przeląknęłam się tego jak wstępu. Jednakże po zastanowieniu, uczułem się mniej winnym. Długie podróże uspasabiają nas do cnót lub występku bez nazwy, które się składają z pobożania stoicyzmu i pogardy.

Zwiedziwszy cmentarze wszystkich ludów, zdaje się żeśmy byli na pogrzebie całego świata i że wszystko to co się jeszcze rusza na jego powierzchni, jest to banda zręcznych zbiegów, którzy znaleźli sposób przedłużenia swego konania. Przechadzałem się na bulwarze włoskim bez zachwyty, nienawiści, miłości, rozkoszy i boleści. Zastanawiając się nad sobą, czułem w głębi duszy jakieś gminne zadowolenie bardzo bliskie nudy. Krzyki tłum, tentent koni wszystko to co się jeszcze rusza na jego powierzchni, jest to banda zręcznych zbiegów, którzy znaleźli sposób przedłużenia swego konania. Przechadzałem się na bulwarze włoskim, bez zachwyty, nienawiści, miłości, rozkoszy i boleści. Zastanawiając się nad sobą, czułem w głębi duszy, jakieś gminne zadowolenie bardzo bliskie nudy. Krzyki tłum, tentent koni, wszystko to zaledwie dochodziło mych uszu. Przyzwyczajony bowiem byłem do ogromnego hałasu, wielkich umarłych narodów niezmiernych pustyń, nie znajdowałem więc żadnej rozrywki w tym całym tłumie znużonych mieszczan. Twarz moja musiała zdradzać pogardliwe usposobienie duszy. W miarę podziwiania milczących i niewzruszonych kolosów Egiptu i Persji, czuję że przybrał mimo-woli, ową niezakłóconą spokojność granitu.

W operze, dawali tego wieczoru *Faworytę*, dzieło przesliczne, pełne elegancji i uczucia.

Na skrócie ulicy Peletier, sznur powozów zatamował mi przejście. Nie mam cierpliwości czekać na przejazd kilkudziesięciu powozów, a że siedłem bez

celu i wszystko mi było jedno czy stącam po asfalcie czy bruku, zamiast zatem czekać, przebyłem wraz z powozami środek ulicy Peletier, i znalazłem się wraz z niemi, przed teatrem Opery. Doszedłszy do przedsionka, postanowiłem wejść razem z drugimi. Wziąłem łóżę parterową, bo od lat dziesięciu moja rodzinna zmieniała z pięć razy właścicieli, obicie i klucze. Usiadłem w głębi ażeby nie być poznanym, i zostawiłem w spokojności kilku przyjaciół, którzyby się poczuli do obowiązku, wyłożyć mi teorię mody, jako podróżnikowi zacofanemu o lat dziesięć.

Nie znałem *Faworyty*, a ucho moje leniwie bardzo pojmuje nową muzykę; wielkie partycje wymagają od nieudolnych słuchaczy długiego nowicjatu. Słuchałem orkiestry i śpiewu z zupełną obojętnością; patrzyłem do łóż z szczególnym zajęciem, chcąc doświadczyć małych zmian przeprowadzonych w ciągu lat dziesięciu, w osobistościach arystokratycznych bywających w operze. Na około mnie w łóżach sąsiadnych rozmawiano dość głośno, czasami nawet dochodziły do mnie różne wyrazy i zdania, a kiedy orkiestra i śpiewy ustawały, wtajemniczyłem się w owe rozmowy, które zgromadzona publiczność miesza z librettem opery.

Mówiono:

— Oh! poznałbym ją wśród tysiąca? Nie ufam mym oczom, a lornetka dopomaga mi. To z pewnością ona, panna de Bressuire.

— Przesliczna osóbką, ale szkodząca swęj piękności przesadą.

— Twoja lornetka fałszywie pokazuje, kochany panie, znamy pannę de Bressuire.

— To nie ona, pan! ma słusność.

Ta panna, na którą wszyscy patrzą i która jest prawdziwą *Faworytą* dzisiejszej opery (wybaczenie tej niebezpiecznej grze wyrazów) jest to hiszpanka. Widziałem ją w lasku buleńskim w karecie pana Martinez de la Rosa. Powiedzieli mi jej nazwisko, ale zapomniałem, nie jestem w zgodzie z nazwiskami.

— Przychodzę do pań z pewną wiadomością, powiedział młody człowiek wchodząc z rumotem do łóż, — zapytywałem właśnie lożmajstra i dowiedziałem się, że osoba zajmująca wszystkich jest damą honorową królowej Belgów.

— Jak się nazywa, zapytało pięć głosów.

— Ma nazwisko belgijskie, które lożmajster zapewne przekreślił, tak coś jakby Walden czy Meulen. Po ruchu ogólnym w łóżach i na balkonie, widać było że ten sam przedmiot zajmuje wszystkich i wszędzie zapewne te same były rozmowy i uwagi, bo ludzie w podobnych razach jednakowo się przedstawiają. Jedno uderzenie akordu zwróciło uwagę na scenę, która od spuszczenia kurtyny zajęta była jedną tylko kobietą. I ja też zmuszony byłem pójść za ogólnym popędem, ale będąc zwykle wyrozumiałym, kilka tylko spojrzeń rzuciłem na stronę i zaledwie dostrzegłem ową młodą kobietę, tak intrygującą cały świat elegancki.

Zajmowała ona łóżę pierwszego piętra, a naturalny wdzięk całej postaci odróżniał ją widocznie. Wystawiona na ogólne uwielbienie, przyjmowała ów tryumf, jak kobieta przyzwyczajona do tego. Zostawiając publiczności zupełną swobodę podziwiania siebie, zdawała się być zupełnie zajęta muzyką i śpiewem, lub też słuchała rady poety tokańskiego, który mówi:

Piękny aniele z nieba wysokiego,
Pozwól na się patrzeć, nie widząc niczego.

Z oddalenia w którym byłem, widziałem tylko całość twarzy, bo użycie lornetki uważałem za niegrzeczność ze strony dobrze wychowanego człowieka.

Jednakże usprawiedliwiła ona zupełnie ów ogólny zachwyt, jaki wszystkie oczy i głosy wyrażały. Była chwila, w której piękna nieznajoma, przechyliła się trochę naprzód, twarz jej wyszła z cienia, a oświecona aureolą żyrandoli i gazu stała się jakby cudownym zjawiskiem, które mnie ołśniło. Milczenie religijne panowało w sali. Baryton śpiewał arję pełną namiętności. Był tam szczególnie dwu-wiersz, drżący na ustach artysty, któremu orkiestra towarzyszyła z cieniowaniem tajemniczym; zdawał on się wyrażać ową upajającą rozkosz jaką nam sprawia, miłość kochanej kobiety. Ileż słabości mieści się w najpilniejszym z nas! Podróż dziesięć lat, pomiędzy lodami, oceanami, nieprzebytymi piaskami, czarnymi twarzami, lasami zapełnionymi potworami, miastami zamieszkanymi przez pogan; pokrwał swe

ręce nad brzegami przepaści, śmiej się z uraganów, znieważaj dzikie zwierzęta w ich kniejach, opal twarz i serce słońcem i morskiem powietrzem, ucz się mądrości na wszystkich ruinach, gdzie retoriowie ogłaszali trzy tysiące lat dziesięcioma językami wiersz Salomona, nad próżnością, próżności, a potem wróć do swego kraju z pyszną pogardą człowieka, co wszędzie widział nicosć, oprócz przestrzeni gdzie błyszczą gwiazdy, zdepcz szyderskim milczeniem, lub słowem pełnem doświadczenia, młodzień która by śmiała w obec ciebie głosić jakie zasady; zawstyż zuchwale bohatera schylającego się pod łukiem tryumfu, a tu przypadek wprowadza cię do kąta pełnego światła i muzyki, wydziedzicza cię z przeszłości, upokarza dumę, nadaje postać zwyczajnych ludzi, stawia na czele głupców! I to przypadek bardzo zwyczajny, skala nie oznaczona na atlasie żeglarsza, kilka słów słodkiej melodii zamienionej w westchnienie, w chwili gdy ciekawe spojrzenie pada na twarz nieznajomą.

Niedochodźmy nigdy rzeczy niedających się wytłómaczyć, wykreślmy z życia wszystkie pytania: dlaczego? Patrzałem ciągle na ową młodą kobietę z uczuciem bojaźni, naturalnej tylko, w razie niebezpieczeństwa; co zaś po zupełnej spokojności jaką się cieszyłem jeszcze przed pięcioma minutami, zdawało mi się szczególnem, że czułem się upokorzonym, niedorzecznym i niezrozumiałym dla siebie samego.

Obok pięknej nieznajomej, widziałem szeroki wachlarz otwierający się i zamykający z pewną przesadą, i dopiero za dziesiątem poruszeniem tegoż, mogłem ujrzeć twarz bawiącą się nim kobiety. Była to jedna z moich bliskich krewnych, Księżna de Langeac. Tu przypadek okazał się bardzo szczęśliwym. Piękna nieznajoma była zapewne przyjaciółką księżnej. Jeszcze tylko chwila, a między — akt postawi mnie w położeniu, wzbudzającym zazdrość całej publiczności.

Po skończeniu aktu, wyszedłem z łóż i przebiegłem szybkim krokiem foyer, za nim się ukazałem w łóż księżnej. Księżna zaczęła zaraz rozmowę, czem mnie wprowadziła z kłopotu, jakby tenże był dla niej widocznym. Kobiety miewają szczególne przeczucia, wszystkie odgadują wszystko, — to zadziwiające.

Księżna wymieniła prędko nazwisko panny de Chateaudun i moje, tak jakby się chciała jak najprędzej pozbyć owę ceremonję, wskazała mi końcem wachlarza fotel mówiąc:

— Kochany Rogerze, widoczne jest że nie wracasz ze świata cywilizowanego. Kłaniałam ci się ze dwadzieścia razy, bez odebrania odpowiedzi! Muzyka zajmowała cię wyłącznie, nie prawdaż? Nie grają *Faworyty* u dzikich, dlatego też zostają dziakami.

Jak ci się podoba nasz baryton?

Śpiewał dziś z nadzwyczajnem czuciem.

Przez czas co księżna mówiła, rzuciłem dwa razy wzrokiem na pannę de Chateaudun i zrozumiałem uwielbienie jakim napełniła salę. Jeżeli ci powiem że ta młoda osoba jest ładną lub piękną kobietą, nie nie rozumiesz, bo te określenia są tak zwyczajne w języku świata, że prawie nie wyrażają. Trzeba było całego tomu szczegółów, ażeby odmalować wdzięki i blask kobiety wyjątkowej.

A zresztą chwila w której to piszę, nie usposabia mnie zupełnie do odmalowania ci w świetnych kolorach piękności Ireny. Nie chcę sobie przypominać tego, o czem chcę zapomnieć.

Po wymianie kilku słów nie nie znaczących, zaczęliśmy rozmawiać, tak jakto się zwykle rozmawia w między — aktach, kiedy wszystkie oczy są zwrócone na jedną łóżę i zmuszają tych co się w niej znajdują zająć się sobą, dla pokazania, że nie wiedzą co się w koło nich dzieje.

Dla pokrycia mego pomieszczenia nadałem rozmowie ton lekki. Przytoczę ci z niej niektóre ustępy:

— Tak pani, powiedziałem, zwracając się do poprzednio rozbieranej kwestji, muzyka stała się dziś potrzebą świata. Francja jest obowiązana bawić rodzaj ludzki. Zamknijmy nasz teatr, to Paryż, Opera i świat cały, wpadną w letarg nieuleczony. Nie może pani mieć wyobrażenia, jakie nudy panują na całym świecie. Szczęściem Paryż ożywia swoim ruchem prowincję dwóch Indji. Pewnego dnia, Kalkuta konała: miała umrzeć z nudów. Kompanja indyjska jest bogata, ale wcale nie zabawna; pomimo wszystkich skarbów nie mogłaby kupić uśmiechu dla Kalkuty.

Paryż przysłał jęj Roberta Djabla, Nieme z Portici, kilka dramatów Hugo i Dumasa, a Kalkuta ozdrowiała i dziś ma się bardzo dobrze.

Chandernagor, miasto sąsiednie, żyło także nędznie. W r. 1842 kiedy opuszczałem wyspy burbońskie, afisze ogłosiły Faworytę, a ludność odrodziła się z radości. Wilhelm Tell wybawił Madras od spleenu. Jak tylko jakie zamorskie miasto dostaje konsumpcji, obraca się z wyciągniętą ręką ku Paryżowi, żądając od tegoż jałmużny i lekarstwa, i jak ubogi chory udaje się do biegłego i bogatego lekarza, tak Paryż wysłał swęj klientce zamorskiej, partyje, książki, gazety, i niespostrzeżenie nawet jakie czyni poświęcenia. Paryż mówi sobie codziennie tysiące zniewag; ogłasza swój upadek, sądzi się być wiele niższym niżeli był dawniej; rozpacza nad utratą wpływu u innych narodów, buduje na dwadzieścia mil w około fortyfikacje, dla osłonięcia się przed Mahometem II; płacze nad swym upadkiem; wymawia niebu że odmówiło terazniejszemu jego dzieciom geniuszu, rozumu i talentów, które dawniej tak obficie okazywały się w prozie i wierszach. Ale cały świat jest innego zdania, co śmiało powiedzieć mogą, bom go zwiedzałem i badałem.

Potem opisywałem żartobliwie moje podróże. Panna de Chateaudun, zdawała się bawić tą szaloną wesołością.

— Doprawdy mówiła, posiadasz pan filozofię bardzo szczęśliwą, i życie pojęte w ten sposób musi być bardzo zabawne.

— Trzeba ci wiedzieć kochany Rogerze, dodała księżna, udając politowanie, trzeba ci wiedzieć: że moja młoda kuzynka, pana Irena de Chateaudun, jest bardzo godna pożalowania.

Mógłbyś zapłakać wraz ze mną nad jęj losem, poprosiwszy orkiestry aby nam zaakompaniowała...

Trzeba więc abym ci oznajmiła, że ta nieszczęśliwa osoba jest jedną z najbogatszych dziedziczek w Paryżu.

— Ah! zawołała Irena z wyrzutem i nieukontentowaniem, które się odbiło w jęj pięknych oczach, więc sądzisz że bogactwo uszczęśliwia? Tak myślą tylko ludzie ubodzy; bogaci wiedzą o ile to zdanie jest fałszywem.

Kurtyna podniosła się: ukloniłem się księżnie i jęj młodej przyjaciółce i wróciłem do męj łóży. Tak postępując, nadałem męj wizycie charakter prostęj grzeczności, wolnej od wszelkich zamiarów.

Jakież wreszcie mogłem mieć zamiary? Trudno by było nawet w tę chwilę odpowiedzieć sobie no to pytanie. Byłem tak jak i wszyscy, zachwycony pięknością panny de Chateaudun; przypadek dał mi sposobność, zobaczyć z bliska to zjawisko.

Nieznajoma nie straciła na bliższem poznaniu. Odznaczała się wdziękiem, uśmiechem i spojrzeniem co woła, zatrzymuje i nie pozwala zapomnieć. Mówiła bardzo mało, ale widocznie było po jęj spokojnem ułożeniu i wyrazie oczu, że posiadała rozum mogący się przedstawić na obszerniejszém scenie jak łoża opery.

Światne promienie które otaczały tę młodą kobietę, dawały mi wybór dwóch ról; milczenie wymowne pełne uwielbienia, lub też użycie lekkiego i beznamiętnego potoku słów, — aż tu na raz, zaćmiło się wszystko, chmura zasłoniła wdzięki, i bóstwo zastąpiło z wysokiego wzniesienia na wilgotny bruk paryżki.

Irena była dziedziczką! Księżna, obcięła skrzydła aniołowi, wymówiwszy te słowa notariuszowskie, — dziedziczka! I cóż mnie to obchodziło?

Dziedziczka! rozkoszny przedmiot pełen poezji i miłości, wystawiony na stole notariusza między papierami bankowymi i złotem! Dziedziczka! Dzień uroczysty w raju, dzień przebaczenia dla ludzi. Bóg wybrał to młode dziewczę, dał mu takie pyszne włosy, czoło modelowane na wzór serafinów, oczy, których promienie zdają się oczyszczać ziemię, ten wdzięk twarzy, taki wyborny kształt szyi i ramion, jednym słowem ową całość idealną o jakiej marzy artysta, a rzeczywistość ukazuje mu ją w końcu... To arcydzieło żyjące niebiański pracowni wystawione na licytację!...

Zadzwońcie, komornicy! Oto dziedziczka, panowie! dajcie papieru stęplowego! zbliżcie się nabywcy!

Domyślasz się zapewne drogi Edgardzie, że po owym wieczorze, który mnie tak przekształcił raptownie, widywałem często pannę de Chateaudun, dzie-

ki ułatwieniom jakie do tego robiła mi księżna, z zamiarem zapewne włączenia do familji jednej dziedziczki więcej.

Oto masz cały tom szczegółów romansowych, aby cię doprowadzić do rozwiązania, jakiego się już domyślasz, bo zapewne odgadłeś moją miłość dla panny de Chateaudun. Nie odgadłeś jednak wszystkiego.

Chciałem w tym liście opisać ci początek i koniec męj historii. Bo co cię może obchodzi środek tejże?

Środek, jestto rzecz zwyczajna, kalendarz miłosny wszystkich co kochali. To protokół spisany z małych rzeczy, ważnych bardzo dla dwóch osób, a zawsze śmieszny dla obojgich. Każdy dzień miał inny urok. Krótko mówiąc, kochaliśmy się.

Irena wydawała mi się istotą doskonałą; jedyna jęj wada, dziedzictwo, zatarła się w upojeniu miłości. Powiem ci więc, wszystko było ułożone; miałem się żenić z tą kobietą, pomimo jęj pieniędzy.

Szczęście upajało mnie. Nogi moje zaledwie dotykały ziemi, miewałem zachwyty szczęśliwości niebieskich, prosiłem ludzi o wybaczenie mi tych wszystkich rozkoszy. Zdawało mi się, że ta dolina płaczu oburzy się na mnie, zdziwiona, że śmiertelnik śmie znieważać jęj cierpienia z wysokości swego ziemskiego raju. Edgardzie rzucam ci zagadkę zabójczą; jaką mi piekło zesłało: podnieś ją, może odgadniesz. Co do mnie, niemał na to głowy.

Irena opuściła Paryż! opróżniła dom, miasto, okolicę. Nie widzę nic w koło siebie, tylko przestrzeń ciemną i wilgotną.

Bez pożegnania, bez słowa pociechy. Tylko kobiety zdolne są do czegoś podobnego!

Robiłem wszystko co można dla wykrycia Ireny; rzucałem się nawet na niepodopieczstwa. Nic się nie udało. O! gdybym wiedział, że zawiniłem względem niej, jakże byłbym szczęśliwy!.. Bo jedna myśl, myśl straszna zabija mnie!.. Piękność Ireny jest nie do przebaczenia; może jakim podstępem chcą ją zgubić, bo wszakże bywały kobiety, przemawiające do mężczyzn: Pomściejcie się za nas!

Ukrywam moją boleść przed drugimi, drogi Edgardzie! Gdybyś mnie był dziś widział na bulwarach, nie poznałbyś człowieka, który pisał ten list. Przybrałem minę pysznego eleganta; szyk sybaryty i uśmiech sułtana; stąkam jak gdyby po obłokach; rzucam na tłum spojrzenia tak litościwe, że dziś trzech nieszczęśliwych przyszło mnie prosić o pomoc, bo zdawało im się, że patrząc na mnie widzą Opatrzność w czarnym fraku.

Ostatni wykrzyk, jaki się obił o moje uszy, który pochodził z ust filozofa postrzegacza, był taki: Mój Boże! jakże ten młody człowiek musi być szczęśliwy! Kochany Edgardzie, czekam na uścisk twęj ręki.

Roger de Monbert.

(d. c. n.)

Korrespondencja z Paryża.

Pomiędzy dyrekcjami teatrów tutejszych, a właściwie pomiędzy służbą teatralną i wszystkimi spekulantami ciągnącymi niemałe zyski z publiczności, powstał wielki wrzask i złorzeczenie na nowotwórstwo. Powodem tego są różne dogodności udzielać się mające bezpłatnie w świeżo budującym się teatrze w Londynie: jak doręczanie programów, stołeczek pod nogi, lornetek, a nawet przyjmowanie zwierzenich ubrań, za co wszystko w Paryżu każą sobie dobrze płacić. Lękają się więc, aby reforma ta i tu nie została wprowadzoną, co by było z wielką dogodnością publiczności, a z ujmą dochodów uorganizowanych łapigroszów. Nado w przyszłym owym teatrze, wszystkie miejsca mają być numerowane, i pod najsurowszą odpowiedzialnością biletów nie można będzie sprzedawać po wyższej cenie, jak tylko po oznaczonej raz na zawsze przez Dyrekcję.

Wszystko to jest jakby szyderczą wymówką teatralnego porządku w Paryżu. W stolicy tę wdzięku, powabu, elegancji i zbytku, który pragnie być w teatrze w miejscu dobrem i wygodnym, ten bez nadpłaty dość znacznej biletu nie nabędzie. Z kupionym zaś w zwyczajny sposób, może nie znaleźć miejsca, i przez dozorczyńnię odsyłany od łoży, musi wreszcie przyjąć pierwsze lepsze, albo z boku see-

ny ułatwiające przegląd wszelkiego rodzaju zakulisowych tajemnic, albo gdzieś na wysokości po za pięćdziesiątą cudzemi głowami, zasłaniającymi prawie zupełnie widok artystów a nawet dekoracji. Nado przy tęg niewygodzie i tak szkaradnym zawodzie, prawie gwałtem odbierają ci laski, kapelusze, zdejmają okrycia, pod nogi poisuują stołeczki, za co wszystko oddzielnie musisz płacić bez żadnej wymówki. Czasami i to bardzo często zdarza, że w łoży nie ma krzesłek, więc zwracasz się zdziwiony do dozorczyńni dając do zrozumienia że stać nie myślisz.

— To może pan życzy sobie krzeselka? — pyta dozorczyńni z najprzymiślniejszym uśmiechem.

— Naturalnie — odpowiadasz cokolwiek zadąsany, i w tęg chwili podsuwają ci stołeczek malutki, wąziutki jak dla dziecka, za który w ostatnim akcie musisz znów dać kilka susów, bo inaczej mógłbyś być porządnie wylajany, a nawet kto wie czy nie podrapany, gdybyś sporu jęnie chciał sakiewką, ulagodzić.

Już to pod tym względem Paryż jest nieznosny. Przy zwiedzaniu jego muzeów, gabinetów lub ogrodów, wszędzie płacić i płacić, tu za laskę, tam za parasol, a tu za krzeselko jeżeliś chciał choć chwilę strudzoną odpocząć nogom. W Berlinie i w Wiedniu a nawet w Londynie, wchodzącym do gmachu wystaw naukowych, ręczne drobiazgi bywają odbierane, ale wydają je bezpłatnie i nawetby datku za to nieprzyjęto.

Niesmak ten służby teatrów paryżkich zrównoważony został wiadomością, iż na posiedzeniu różnych towarzystw w Londynie, prawie jednomyślnie zgodzono się, iż kobietom prawo głosowania nie może być nadane, i że gdyby jakiegokolwiek pod tym względem robiono podania, każdy z obowiązku starać się będzie, aby żądane prawo przez parlament nie zostało zatwierdzone. We Francji a głównie w Paryżu, tak zwanęj emancypacji kobiet przez pracę, nie są chętni, i to co dziś kobiety zdobyły w tym kierunku, zawdzięczają wyłącznie swęj gorliwości i silnej woli. Do walki bowiem z przesądem, z zawiścią, z obawą, stawały tylko dzielniejsze umysły, z duchem silnym i niezłomnym, współzawodnictwo więc było trudne i pełne męzości i takim dotąd pozostało. Męzka polowa przekonawszy się, z jak groźnym przeciwnikiem ma do czynienia, jak kobiety z dniem każdym stają obok nich przy jednym warstacie pracy i śmiało walczą o lepsze, przeleżała się następstw, i dziś wielkim głosem woła przeciw emancypacji, płacząc nad zatracaniem świętości kobiecych obowiązków.

— Chleb nam dajcie — odpowiadają na to kobiety — dajcie nam choć poddasze, choć po kawałku węgla, a wszystkie zmienimy się w starożytne kapłanki, aby was w trudzie pracy rajem ziemskim otoczyć. Gdyby też nie ten chleb nieszczęśliwy, o który wszędzie coraz jakoś trudniej, kobiety nie porzuciłyby kądzieli, a mężczyźni nie byłiby w obawie o utratę praw swych, które co chwila zrywają się do lotu i ucieczki.

W Ameryce, sprawa samodzielności kobiecej większem cieszy się powodzeniem. Według ostatnich wiadomości, w Chicago założone zostały przez same kobiety dwa pisma: jedno sądowo — prawnicze z poglądem krytycznym na poprawę i rozwój praw obowiązujących, — drugie wyłącznie poświęcone interesowi kobiet, z dążeniem postawienia ich na stopie przynależnej godności. Przy obu pismach pracują same tylko kobiety, — ekspedycja, rachunki, współpracownictwo, nawet druk i roznoszenie pism po kantorach, wszystko to załatwiają kobiety, aby dowieść praktycznie, że do każdej czynności jaką przedsięwzię, własne ich siły aż nado są dostateczne. Pomiędzy prenumeratorami kilkotysięczny stanowiący zastęp, połowę większą stanowią mężczyźni, nie w chęci uszczupliwéj krytyki i potem zabawiania towarzystw zjadliwemi żarcikami z poważnych prac redaktorek, ale w zacnej chęci przekonania się, czy przedstawione rozumowania są do wodne, i o ile sądowy dziennik przynosi rzeczywistęj usługi krajowi, a o ile kwestje rozbiegane w drugim są słuszne i sprawiedliwe.

Tak rozumieją Amerykanie. Daj Boże aby pojęcia podobne jak najdłuższym promieniem zakreślały okrąg swego działania.

K. G.

USTĘP Z ŻYCIA MEKSYKAŃSKIEGO.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Jakkolwiek poeci i powieściopisarze przedstawiają nam malowniczo bandytów, nadają wzniosłość ich charakterom, a czasem nawet podnoszą do bohaterstwa, w rzeczywistości jednak trudno wystawić sobie coś wstrętniejszego i bardziej oburzącego, jak bandyta, zwłaszcza gdy pomyślimy, że nikczemnicy i próżniacy, zrujnowani gracze, zubożali marańcowcy lub zawiedzeni w swych rachubach spekulanci, stanowią zastęp ciągle zasilający szeregi tak zwanych w Meksyku „rycerzy dróg publicznych“.

Są atoli okoliczności, z powodu których bandyta meksykański obudza pewien rodzaj dziwnego i trwoga przejmującego zajęcia. Przepasany powiewną szarfą, okryty szerokim *sombrero*, w kapeluszu z piórami i z wielkim nożem w ręku, bandyta jest niezaprzeczenie malowniczą co do powierzchowności postacią. Doskonałe urządzenie band, karność ich wojskowa i siła liczebna, przenosi myśl w czasy Kartuszków i Robin-Hoodów. Jest to nader niekorzystny rys charakteru, moralności i oświaty Meksykanów, iż nawet w najwyższych sferach społeczeństwa, pomiędzy pierwszymi dostojnikami państwa, pośród sądowych i administracyjnych urzędników, wszędzie bandyci mają swych członków, i to zarówno mężczyźni jak i kobiety; słowem ich stowarzyszenie nakształt misternej sieci, pokrywa kraj cały.

To też dowódcy band mogą w każdej chwili zebrać jak najszybsze wiadomości i objaśnienia, i znać dokładnie wszystkich, których majątek wart jest zachodu. To tłumaczy również, jakim sposobem jenerałowie lub wysocy urzędnicy cywilni, żadnego nie posiadający majątku, mogą prowadzić życie wystawne i przegrywać w karty bajeczne summy, chociaż nikt nie pojmuje, jak im na to starczą dochody.

Trzy lata temu, w miesiącu kwietniu, pan Leroux bogaty kupiec francuzki, zamieszkały oddawna w Meksyku, wybierał się wraz z żoną i dwojgiem dzieci z powrotem do Europy, dokąd powoływały go ważne interesa. Przed odjazdem zapragnął przedstawić się cesarzowi Maksymilianowi, który wówczas znajdował się w najmniej przykrzej epoce, owego tak krótkiego i smutnego panowania. Jak tylko przybył do pałacu cesarskiego, natychmiast otrzymał posłuchanie i był przyjęty przez cesarza, równie uprzejmie, jak wszyscy cudzoziemcy. Gdy wszedł, Maksymilian słuchał depeszy, którą czytał mu jego adiutant pułkownik Yanez. Pan Leroux, nie znając jeszcze cesarza, spoglądał więc na niego z ciekawością i poszanowaniem. Pułkownik, który za jego wejściem przestał czytać i zajął się składaniem papierów, odznaczał się niezwykle męską pięknoscia.

Kupiec dopełniwszy form etykiety i wyraziwszy przyjęcie w takich razach grzeczności, oznajmił cesarzowi, że opuszcza Meksyk, i prosił zarazem o dodanie eskorty wojskowej; zabierając bowiem z sobą znaczne summy w złocie i drogich kamieniach, przewidywał niebezpieczeństwa, na jakie narażony będzie w podróży z Meksyku do Vera-Cruz. Maksymilian znał już, ile w podobnych razach można zamierzać jego wojskom, odpowiedział więc z ujmującym uśmiechem, (który tyle wdzięku dodawał jego twarzy), iż z wielką przyjemnością uczyniłby zadość prośbie pana Leroux, ale ręczyć nie może, czy sami żandarmi po wyjeździe z miasta, wiedząc, jak znaczne pan Leroux wywozi kosztowności, z obrońców, nie zmieniają się w napastników, a nie dość na tem, obecność straży przyczyni się do zwrócenia uwagi bandytów i pozwoli im odgadnąć że pan przewoził znaczne summy.

Posłuchaj mojej rady, panie Leroux, każ zrobić podwójne dna u twoich kuferków, ukryj tam pieniądze i kosztowności, a za ukazaniem się bandytów, oddaj im klucze natychmiast i pozwól spokojnie przetrząsać twoje tłumoki. Poświęcisz pan w ten sposób pewną nie znaczną sumę i część twych rzeczy, ale sądzę że resztę będziesz mógł uwieść bezpiecznie.

Pan Leroux łatwo dał się przekonać, że rada ta, była lepszą niż zaufanie w prawość wojska meksykańskiego, pożegnał więc cesarza, ukłonił się pułkownikowi Yanez, i udał się wprost na ulicę Las-

Cadenas, ażeby stosownie do rady Maksymiljana, kazać zrobić walizy o podwójnych dnach. Następnie własnoręcznie ukrył w niej swoje złoto i klejnoty, a za nadjeściem nocy udał się konno w podróż. Żona jego i dzieci niesione były w lektyce, za niemi postępowali mulnicy i muły, obciążone pakunkami.

Nie ma może okolicy w którejby przed oczami podróżnika roztaczały się wspanialsze i więcej zachwycające widoki, jak między Meksykiem i Vera-Cruz. Ale pan Leroux bynajmniej nie był usposobiony do podziwiania piękności natury. Gdy zbliżał się do wielkiego cypla góry Orizaba, myślał z trwogą o wozie położonym w bliskości równiny Akajete, na której wznosi się mnóstwo krzyży drewnianych, postawionych jako wspomnienie smutnych wypadków, lub dla wyjednania odpuszczenia zbrodni dokonanych w tém miejscu.

Jeszcze przededniem mała karawana weszła w wóz, mulnicy drżąc na walizach śpiewali jednostajnym głosem zwykłą swoją piosnkę:

Moja żona i mój koń
Umarli w jednym dniu

gdy ku ich podziwieniu wiele dźwięcznych głosów odśpiewało, z drugiej strony wozu:

Nie żony to ale konia
Ja żałuję.

Nasi podróżni nie mieli czasu dowiedzieć się, kto im wtórował, w przeciągu bowiem minuty byli otoczeni przez dwudziestu rozbójników, którzy jakby na skinienie czarnoksiężkielki laski, wystąpili z po za krzaków. Pomimo przerażenia i trwożliwych krzyków żony, pan Leroux wcale się nie zmieszał i z pewnym rodzajem obojętności spoglądał na bandytów odwiązujących walizy. Podał im nawet klucze, lecz odrzucili je ze znaczącym uśmiechem, a jeden z nich zwrócił się wprost do wiadomej walizy, wydobyl sztylet, podważył nim deskę w dnie i wieku, i od razu odkrył kryjówkę.

Wściekłość ogarnęła pana Leroux, porwał za pistolety, ale po chwili zastanowiwszy się jak nadaremny byłby opór, dozwolił Meksykanom zagarnąć swe pieniądze oraz drogocenne diamenty i perły.

Po tym wypadku pośpieszył z powrotem do Meksyku i podał skargę do władzy. Zdawało się, iż tylko Maksymilian i majster, który robił walizę, znali tajemnicę — któż więc odkrył ją bandytom? Fabrykant został przytrzymany, jako współnik zbrodni, lecz bez wielkiej trudności zdołał się uniewinnić, i pan Leroux był zmuszony wyrzec się odzyskania swej straty. Niezadługo jednak, nowe, smutne i okropne zdarzenie, posłużyło za ślad do wykrycia sprawców rabunku.

Na przedmieściu Saint-Cosme, gdzie położone są najbogatsze i najpiękniejsze wille Meksyku, otoczone pysznymi ogrodami, pan Mairet, konsul szwajcarski, bezzenny i bardzo majątny człowiek, zamieszkiwał w jednej z nich prawie samotnie. Ponieważ wówczas Meksyk nie posiadał jeszcze banków publicznych, konsul więc przechowywał w domu znaczne summy.

W kilka dni po kradzieży, której ofiarą był pan Leroux, w pewnym domu naprzeciwko mieszkania konsula, wydano tańczący poranek, na którym był minister angielski, ambasador francuzki i sam wybór meksykańskiego towarzystwa. Niektórzy goście podziwiali silną budowę i bezpieczeństwo domu p. Mairet, w którego oknach były kraty żelazne, a drzwi strzegły dwa ogromne brytany.

Około pierwszej godziny, jakiś powóz zatrzymał się przed domem; wysiadł z niego człowiek w zakonem ubraniu, w towarzystwie dwóch ludzi świeckich, i oznajmił służącej która wyszła do niego, że chce widzieć się z panem Mairet. W chwili kiedy Indyjanka, będąca jedyną służącą konsula, odwróciła się aby uwiadomić pana, nieznajomi pochwycili ją, zakneblowali usta i przywiązali do słupa. Po rozpaczem pasowaniu udało się biednej dziewczynie krzykiem zwrócić uwagę sąsiadów, za nim jednakże przybiegli na ratunek, upłynęło dość czasu. Za wejściem do pokoju, pana Mairet znaleziono zabitego, a jego okuta skrzynia była pustą.

Widać, że walka rozpaczliwa zaszła między nim a mordercami, gdyż ciało jego było okryte ranami,

a w prawej ręce trzymał metalowy guzik z kawałkiem sukna niebieskiego.

Całe ciało dyplomatyczne nalegało usilnie, ażeby wykryto i ukarano winnych. Podejrzenia padły na dragona z 4 pułku, który będąc tylko prostym żołnierzem, zaczął nagle prowadzić życie zbytkowne i tracił pieniądze, nie mogąc wykazać źródła swego majątku. Policja zrewidowała z nienacka jego mieszkanie i znalazła ubranie niebieskie u którego brakowało guzika. Śledztwo wykazało, że właśnie ten guzik wyjęto z ręki zamordowanego. Schwytany i osądzony bez zwłoki, dragon Antonjo był zmuszony iść do drzwi zabitego, ztamtąd na rusztowanie.

Antonjo do ostatniej chwili nie chciał wydać współwinnych, a jego rozmowy dowodziły, iż nie tracił nadziei że osoby posiadające wysoki wpływ, oswobodzą go od śmierci. Wstępując na rusztowanie zdawał się szukać kogoś w otaczającym go tłumie; lecz gdy nie dostrzegł nikogo i poznał iż został zawiedzionym, odwrócił się do kata i rzekł stanowczo: „Oskarżam jako dowódcę bandy złodziei, do której i ja należałem, pułkownika Yanez, adiutanta Cesarskiego.“

Nikt nie dał wiary temu oskarżeniu. Jako! pułkownik Yanez, jeden z najznakomitszych oficerów armji meksykańskiej, odznaczający się pięknoscia i elegancją, nie okazujący przy grze żadnej namiętności, z równą obojętnością przegrywający lub wygrywający stosy złota, przyjaciel cesarza, narzeczonemu donny Dolorès, miałby być rozbójnikiem na gościńcu — mordercą dla nabycia złota? to sprzeciwiało się zdrowemu rozsądkowi. Jednakże egzekucja została wstrzymana, a książę don Jose de la Cortina, wielkorządcą Meksyku, pośpieszył wysłać sędziego Olozaga do mieszkania Yaneza, gdzie też znaleziono klejnoty, perły i pieniądze pana Leroux, wraz z tajemniczą korespondencją, kompromitującą bardzo pułkownika i znaczną liczbę oficerów z Vera-Cruz.

Pułkownik Yanez został natychmiast wtrącony do więzienia. Tejże nocy pewna dama osłonięta gęstą woalką, owinięta w piękne jedwabne okrycie, przysłała do Olozagi i użyła wszystkich środków, jakie posiada piękna kobieta, ażeby wzruszyć sędziego losem pułkownika. Widząc, że lzy, błagania, groźby były bezowocne, ofiarowała się okupić trzydziestoma tysiącami piastrow wolność Yaneza — ale i ta ofiara została odrzuconą. Olozaga był prawym człowiekiem i tak się oburzył tą propozycją, iż tylko przez wzgląd na piękność i cierpienie donny Dolorès, nie oskarżył ją przed władzą sądową.

W ośm dni potem sędzia umarł otruty.

Następnie usiłowano przekupić urzędnika, który przy Olozadze pracował. Za 500 uncji złota otrzymane od nieznanej osoby, urzędnik zgodził się usunąć dowody kompromitujące pułkownika. Niepokojony jednak wyrzutami sumienia dołączył powyższe dowody do właściwych akt; nie mógł jednakże zwrócić pieniędzy gdyż oddawca był mu nieznany. W tym czasie nowy sędzia został mianowany na miejsce Olozagi i zdano mu sprawę Yaneza.

Był to szlachetny i poczciwy Hiszpan, nazwiskiem don José Calvo, rodem z Hawany. Doznawszy znakomitych przysług od Francuzów, czuł dla nich wszystkich żywą wdzięczność, i dla tego postanowił przekonać ciało dyplomatyczne a głównie konsula francuzkiego, że sprawiedliwość nie była tylko próżnem wyrażeniem u Meksykanów. Nie zapomniał jednak o niebezpieczeństwie, na jakie się narażał, bo wiedział, że pułkownik Yanez miał potężnych przyjaciół, że jenerał Valencia, złożył raport, iż dwaj domniemani a niby właścicieli zabójcy mieli się schronić do karezmny na przedmieściu, więc Yanez mordercą być nie mógł, i że otrucie jego poprzednika powinno być przestroga, jak stanowisko sędziego jest trudne i niebezpieczne.

— Mimo to wytrwał mężnie i nieugiął się, choć starał i pogróżek nie brakowało.

Co do Yaneza, duch opiekuńczy w postaci owej młodej kobiety nie opuszczał go i w więzieniu, w którym otrzymywał liczne dowody iż się nim bezprzestannie zajmowano. Nazajutrz po aresztowaniu, dozorca wręczył mu karteczkę, na której ręką kobiecą, nakreślone były wyrazy „miej odwagę i nadzieję“. Tą drogą dowiedział się także, iż papiery dowodzące jego winy były zniszczone. Przekonany więc, iż oskarżenie jednego Antonja nie wystarczało do potępienia go, stawiał się śmiało przed sądem, i przemawiał z niepojętem zuchwalstwem. Ale nagle, z przerażeniem jego i donny Dolorès, przytomnej sądu sprawy, przedstawiono mu owe potępiające

papiery, w skutek czego pułkownik Yanez i siedmiu współwinnych zostali skazani na śmierć.

Tęj nocy donna Dolorès odwiedziła Yanez'a, a opuszczając więzienia zostawiła butelkę wina, ażeby jak twierdziła, dodać mu odwagi. Nazajutrz znaleziono go martwym: domysłano się jaki był powód tej nagłej śmierci.

Nieszczęśliwa kobieta, która złotem potrafiła uspić czujność dozorcę więzienia i przez to wybawiła Yanez'a z ręki kata, otrzymała pozwolenie pochować tego, który był jej narzeczoną, w ogrodzie klasztoru św. Ferdynanda.

POGADANKA TYGODNIOWA.

Biblioteka Warszawska zaczęła kiedyś orędowniczką naukową, czując konieczność ocknienia się z chwilowego uspienia, w jakim lat kilka została, od pewnego czasu zaczyna krzątać się około spraw swego żywota, a przynajmniej ogłoszeniami przypominać: że żyje, że radaby aby o niej przypomniano sobie. Chęci zaczęte spełzną jednak na niczem, jeżeli Redakcja sił swoich nie zasilą nowymi żywiołami, i nie utworzy z nich jakto niegdyś miało miejsce uorganizowaną całość, któraby czuwała troskliwie nad każdym artykułem w jej kartach publikowanych. Umysł społeczny szukający w piśmie poważnego stosownej dla siebie karmy, nie można zbywać strzępkami czasu wyżebranymi od nudów i bezczynności — redakcja nie powinna być skarbną jakmużniczą, zasilaną wedle chęci i woli ofiarodawców, ale machiną funkcjonującą w całej swój pełni, w której wszystko co działa jednej ulega kontroli. Brak tej organizacji i zbiorowości, szczególniejszą się uwidatnia w ostatnim numerze Styczniowym.

O godności krytyki i zupełnym jej u nas upadku pisałem nieraz. Biblioteka Warszawska starała się ciągle złemu zaradzić, a choć dział krytyczny był zawsze najslabszą stroną tego pożytecznego pisma, nie można go jednak było posądzać o szkodliwą niesumienność. Czas jednak zmienia wszystko, i oto w styczniowym poszycie jakiś pan Mruk wystąpił z artykułem p. t. „Pisma periodyczne w r. 1868“, w którym wszystkie wady dzisiejszej krytyki widne jak na dłoni. Przedewszystkiem pytam autora, jakie ma być znaczenie wspomnianego artykułu? Czem on jest? czy reklamą na korzyść niektórych ulubieńców, czy zabawką, czy wreszcie prostym zabiciem czasu lepiej nie mogącego być użytym? Jeżeli to miał być wykaz pism periodycznych wychodzących w kraju, to brak przy nich programu i warunków wychodzenia, — jeżeli przegląd krytyczny, to artykuł drukowany na to za mało, bo zdanie nie dość wyrzec, ale go trzeba usprawiedliwić, jeżeli reklama to dość niezręczna aby kogo miała w błąd wprowadzić. Pod żadnym więc względem celowi swemu nieodpowiadał, — po coż go więc było drukować? Sądję że Redakcja nie umiałaby na to odpowiedzieć, a nawet sam pan Mruk, gdyby był o to zapytany. Przyczyna jednak należy, że trudność zadania nie była mu obca. Zaraz bowiem we wstępie, utrzymywanie się u nas trzydziestu pism periodycznych nazywając ciekawym zjawiskiem, dowodzącym z pociechą powiększenia się zastępów tak czytelników jak piszących, dodaje w końcu: „Dziwimy się jak przy naszych środkach tak ograniczonych, przy tylu rozmaitych kłopotach, przy zupełnym braku funduszu i kredytu, rodzą się ciągle pisma periodyczne i żyją. Życie to bez względu na jego użyteczność, jest zawsze godne szacunku, i dla tego wytykać w niem błędy byłoby niesprawiedliwością“.

Popełnił ją jednak pan Mruk nie przez wprost wyrzeczoną ocenę, ale przez zestawienie zdań, dążności, zasad, przy jednych zbyt obszernie przyłączonych, przy drugich rozmyślnie pominiętych, i przez widoczne unikanie chętki do nagany dla pism tych, które nie miały szczęścia łaski jego dla siebie zaskarbić. A uzyskanie tej względności, aby przez pana Mruka być ogłoszonym za redaktora znakomitych zdolności, pojmującym wybornie swój przedmiot, stawiającego pismo swe na stanowisku, któremu żadne inne podobne nie dorównywa, było konieczne.

Pomijając tę klasyfikację niczem niepopartą, która

nikomu sławy nie doda ani jej nie zaćmi, pytam się pana Mruka, czem się tak pisma różnią, pomiędzy sobą, aby jedno stało na czele drugich i wartością im swoją przodowało? Czyż dodatkami lub formatem albo większą starannością redakcji? Wszystkie pomieszczają powieści, korespondencje, krytyki, artykuły literackie, wyjątki z podróży, rozprawy społecznego ustroju dotyczące i. t. p. Wszystkie z trudem, pracą, i mozołem zabiegają, starają się i samem swem wychodzeniem jawnie dowodzą, że usiłowania ich nie są bez zalety, że pracę swą muszą rozwijać pożytecznie, skoro mają właściwą liczbę czytelników podtrzymujących ich wydawnictwo.

Wprawdzie w pracy tej może być pewna różnica, więcej z gustu czytelników jak wartości artykułów wynikająca, nigdy jednak pierwszeństwa nie usprawiedliwi. Przytaczanie także obszernych wyjątków z programu redakcyjnego nie popiera dowodzenia pana Mruka: jest to obietnica i nie więcej, nie mogąca stanowić wartości pisma, tylko oznaczenie kierunku w jakim zamierza pracować. Przyznanie zaś, że program jasno i zrozumiale oznaczający zadanie, spełniony jest jak najściślej i do tego z odznaczającą się zdolnością, żeby nie wyglądało na dziennikarską reklamę, powinno być koniecznie obszernym wywodem usprawiedliwione, i to nie powierzchownym, nie przepełnionym ogólnikami, ale rozbiorem gruntownym, sumiennym, porównującym prace pism pomiędzy sobą i wykazującym ich wyższość lub niższość.

Żeby dopełnić tego, przedewszystkiem trzeba dobrać znać wszystkie pisma, czyli czytać je i to nie pobieżnie, nie z tytułów artykułów, ale jak to mówią od deski do deski, nic nie wypuszczając i nic nie lekceważąc. Czytać jednak trzydzieści pism bez wyjątku, aby po upływie roku, wymruczyć artykuł o nich objętości jednego arkusza druku, to mógł za wielki. Krytyka dzisiejsza czytanie zastępuje przecuciem albo osobistą skłonnością: zrąbać na drzazgi, lub ubrać w wieniec znakomitości, to z małym nader wyjątkiem główne jej zadanie, czytać więc nie potrzebuje rzeczy zarówno ganionej jak chwalonej i nie czyta czego obowiązuje się dowiedzieć każdemu przywziewającemu na siebie poważną tę krytykę.

Pan Mruk tą samą poszedł drogą, napisał artykuł o pismach periodycznych, przebiegł wszystkie po szczególe, tu mruknął cicho tam głośnie, tam wybił czołobitne ukłony, tam pokiwał głową ze znaczeniem, ale czytał z nich tylko niektóre, te tylko co więcej pasowały do jego mrukliwego usposobienia. Brak ten niezbędnego warunku jest tak widocznym, że mówiąc o *Przyjacieli Dzieci*, nie wspominał nawet słówka o konkursie jaki na powieść dla niego i inne artykuły został ogłoszony, chociaż konkurs ten był wydrukowany w ostatnim numerze *Przyjaciela* i poprzednio wiadomość o nim podała *Gazeta Polska*.

Opuszczenie takie nie może usprawiedliwić pobieżna wzmianka w tymże samym numerze Biblioteki o konkursie dopełniona, bo i programy pism periodycznych także były drukowane i to w kilkunastu tysiącach egzemplarzy, a jednak pan Mruk przy niektórych faworyzowanych przez siebie pismach, powtórnym ich przedruk uskutecznił. Wiadomość więc o konkursie *Przyjaciela Dzieci* pominął, bo go nie przeczytał, a nawet nie przeczytał starannie i jednego jego numeru, chociaż pismo to raczył obdarzyć radami życzliwej niby opieki, i uwagami mówiącymi niby to i owo, a rzeczywiście nic nie powiadającami. Gdyby bowiem był z niego choć jeden numer odczytał, może byłby przyznał że mu nie brak nigdy, ani zacnej dążności, ani jasności przedstawienia, ani umiejętności zniżenia się w wykładzie do pojęć młodocianego umysłu.

Domaganie się także oznaczenia zasady, dla jakiego wieku dzieci pismo to ma służyć, także dowodzi jego najzupełniejszą nieznajomości. Że zaś poświęcone jest dzieciom różnego wieku od lat sześciu do czternastu, to inaczej być nie może. Dla takich wydawane są podobne publikacje za granicą, w Anglii, Francji i Niemczech, a jednak nikt tego nie gani i uważa to za konieczne. Czyżbyśmy pod tym względem lepsze mieli zdanie i doświadczenie od cudzoziemców?

Smutna ta rozprawa z panem Mrukiem, do jakiej przystąpiłem z największą niechęcią, bolesne niezmiernie nasuwa myśli. Mówimy o poświęceniach, o miłości społecznej, o gotowości do ofiar, o różnych cnotach, a zapominamy o najprostszej powinności,

surowo karconej przez nas w drugich, o spełnianiu sumiennem przyjętych przez siebie obowiązków. Powiadają że pisarze i krytycy to gwiazdy co blaskiem swym przyświecają drogą całej społeczności, że wszyscy szermierze pióra to kapłani i apostołowie co posuwają ludzkość po drodze postępu. Czcze to słowa, puste brzęki, pajęczne nitki osnuwające poczwarkę zowiącą się samolubstwem, dla niej wszystko choćby przyszło zdeptać drugich a nawet zdeptać, aby tylko swoje przeznaczone poklaskiem i pokłonem zostało obdarzone. Krytyka dzisiejsza.... zostawiam ją w pokoju, wieszając jej przedstawicielom nowego szermierza, jakiego w osobie pana Mruka zyskała.

Rosa Boża.

Biedny pączku, wiaty, mały,
Wiatr łodygą twoją miota!
Może spalać cię upały,
Lub w rozkwicie zburzy słońca.

O nie zburzy! co ja widzę,
Pączek rozwarł ciche łono,
I kwiat pyszny na łodydze
Purpurową błysk koroną.

I pogląda śmiało w górę,
I woń cudną śle w niebiosach,
Kto cię odział w tę purpurę:
Boże słońko! Boża rosa!

O strumyku, co na łące
Kryształowe toczysz wody,
Ty orzeźwiasz trawki drżące,
W tobie szuka dąb ochłody.

Otóż słońce żarem płonie,
Schnie na popiół ziemia głodna,
Zbraknie wody w twoim łonie?
Czyż twe źródło wyschną do dna?

W tem za mętną chmur osłoną,
Błyskawicą lśnią niebiosach,
I cóż syci twoje łono?
Deszcz majowy! Boża rosa!

Na zagonach kłosa się płoni,
Pieśni ptasząt wtórzają gaje,
Świeci owoc na jabłoni,
Z sierpem żeniec w polu staje.

Lecz te skarby, co bogactwem
Pracowników w krwawym trudzie,
Czyż ją tylko znoją pracę
Wydobędą z ziemi ludzkie?

O! te dary marno drzemią
Aż rozbudzą je niebiosach,
Cóż cię żywni — powiedz ziemio?
Boże słońko! Boża rosa!

O UBIORACH.

Od ubiorów wymagać należy, aby przystajały nie zaś przetwarzają w dziwolagi; chcąc więc wydać się dobrze przy dzisiejszych przesadnych modach kobietą z gustem, powinna śledzić wyroby pierwszorzędnych magazynów, które jedynie posiadają tajemnicę ubierania swoich klientek, zupełnie stosownie do wieku, tuszy, koloru cery i włosów, słowem w niczem nienarządzając na śmieszność, którąby podpaść łatwo trzymając się tylko ślepo wyroków mody. Noszą na przykład teraz kapelusze małe, lecz kapelusze małe może być szerszy lub wyższy nad czołem, a często ta drobna różnica sprawia że kapelusze jest mniej lub więcej do twarzy. Cośmy powiedzieli o kapeluszach, to się da zastosować i do innych artykułów ubrania, bo często magazyny pierwszorzędne posuwają troskliwość tak daleko, że chociażby kupująca nie zwróciła nawet uwagi swojej na niedokładności stroju, to one dla własnej opinii stoją na straży dobrego smaku.

Fantazja w tym karnawale gra wielką rolę w ubraniu głowy. Trudno się czasem domysleć, patrząc na jakąś aksamitną opaskę, której za całą ozdobę służy z boku wpięty bukietek lub skrzydlaty motyl, że ona może przystroić pięknie. dopiero gdy się motyl rozsiedzi pomiędzy puklami włosów sztucznie ułożonych, bukietek umieści w stosownym miejscu z boku głowy, wdzięk ubranka uznać trzeba.

Zwiedziliśmy magazyn pani Penkalowej, któremu zawsze przyznajemy że się odznacza wielkim gustem i starannością w wykończeniu, o czem najlepsze dać może świadectwo z każdym rokiem zwiększająca się działalność tego zakładu.

Karnawał spowodował że na jakiś czas suknie skromniejsze usunięte zostały z widowni, a ich miejsce zastąpiły stroje balowe. W przybraniu sukien tarlatanowych zauważyliśmy, że przystrajają je w wielką ilość falbanek z tarlatanu, które się przepinają w rozmaite wzory, nie jak dawniej pliskami z ukośniętego atłasu, lecz wstążeczkami atłasowymi całowej szerokości; znacznie to jest praktyczniej, o wiele ułatwia robotę i nierównie taniej wynosi. Modele sukien tarlatanowych przysłane z Paryża, wszystkie ubierane są w sposób powyżej opisany. Pomijamy suknie lekkie, a opiszemy szereg wykwiutnych toalet przeznaczonych na bale karnawałowe.

Suknia z żółtego atłasu, niezmiernie długa, oszyta u dołu cztery razy bufą, z illuzji czarnej, przepinaną w odstępach kokardami z żółtej wstążki atłasowej. W miejsce tuniki była wielka z tyłu bufa z materji tejże co suknia, otoczona i niby podpięta czarną koronką Chantilly łokciowej szerokości, z boków bufa ta wysoko była podpięta bukietami z kwiatów żółtych. Stanik nisko wygarniowany był suto czarną koronką. Pasek do niego z krótką a szeroką szarfą spadał z tyłu, zrobiony z atłasu żółtego.

Druga suknia z *poult de soie* różowego. Spódnice powłóczystą otaczał wolant szeroki na trzy ćwierci łokcia, nad nim naszyte były dwa wolanty z niezbyt szerokiej koronki czarnej, podpinane w festony rozetami z atłasowej różowej wstążki, które naśladowały układem swoim kwiat róży. Tylnie bryty spódnicy ubrane były przepysznie, naszyto je bowiem pięcioma wolantami z czarnej szerokiej koronki, które u dołu kończyły się okrągło, naśladując tunikę koronkową. Ubranie głowy stanowiła gałązka lewkonijsz tęgoh co suknia koloru.

Bardzo gustowną była suknia z niebieskiego atłasu, długa gładka, z szarfą szeroką suto wygarniowaną białą koronką, a ułożona w ten sposób że tworzyła bufę z tyłu, licznymi puklami swemi. Stanik wycięty z krótkimi rękawkami.

Ubranie głowy stanowiła wiązka kwiatu oleandrowego koloru różowego, takież bukiet wpięty był na staniku po środku berty.

Najbardziej jednak wykwiutną była suknia dla młodej mężatki. Spodnia suknia była różowa jedwabna gładka, zwierzęchnia spódnica z białego tarlatanu w rzucik z drobniuchnych różyczek. Spódnica ta u dołu oszyta była szerokim wolantem ułożonym w głębokie kontrafałdy i oszytym u dołu atłasową białą wstążeczką. Nad wolantem naszyta była trzykrotnie woda przedzielana od siebie ruszami, wszystko z białego tarlatanu. Stanik nisko wycięty i tunika z atłasu białego, podpięta była *à panier* różami różowymi mięszanymi z powiewną trawką zieloną.

Z sukien wizytowych podobała nam się szczególnie jasno zielona jedwabna w ciężkim gatunku. Spódnica była tak niezmiernie długa, że z tejże samej sukni za pomocą podwiązania tworzyła się wielka bufa, a pomimo to ogon był bardzo długi. Podwiązanie bufy stanowiła szarfa z atłasu tegoż samego koloru co suknia, zaczynająca się od środka stanika z przodu a zakończona z tyłu szeroką i krótką kokardą z końcami spadającą z pod bufy. Stanik pod szyję przybrano rulonikami z atłasu zielonymi, a za pomocą których oznaczono rysunek wycięcia *en coeur*. Rękawy zwyczajne naszyte rulonikiem.

Oprócz sukien któreśmy opisali powyżej, przedstawiono nam kwiaty do ubrań balowych, tak doskonale naśladujące naturę i fantastycznie ułożone, iż musieliśmy żałować że w miejscu pióra niemożemy posługiwać się pędzlem, ażeby dać dokładne wyobrażenie czytelnikom naszym, do jakiej doskonałości kwiaty sztuczne doszły.

Najmodniejszy układ kwiatów tak dla młodych mężatek jak i panien, jest bardzo wysoki djadem nad czołem, tylko z boku zakończony długą gałązką zwaną *trainasse*, która spada zwykle po za lewe ucho

przerzuca się z przodu na prawe ramię przystrajając przez to przód stanika, a nareszcie spada dość długo na plecy; inne gałązki, nie konieczne są tak długie, tylko na łokieć, a takie owija się zwykle w około łoku angielskiego, który spada nisko na plecy.

Widzeliśmy u pani Penkalowej, bardzo wysoki djadem ułożony z jasno zielonych kłosów przetykanych makiem pasowym. Od djadem tego spadała bardzo długa gałązka z trawy jasno zielonej przetykaną maczkami, która dopełniała ubrania stanika sukni i spadała po za prawe ramię.

Djadem z białego bzu przepięty z boku *cérise* kamelią, od niego spadała niedługa gałązka z bzu, która miała otaczać angielski lok.

Był tam także djadem ułożony z gałązek konwalji, wyrobionych z atłasu zielonego z gałązką odpowiednią. I wiele, wiele innych, wszystkie zaś zalecały się najlepszym gustem. Cena kwiatów balowych bardzo przystępna, gdyż można mieć przystrojenie kwiatowe od 2 rs. a zawsze z kwiatów w najlepszym gatunku.

Ubranie na mały wieczorek jest bardzo skromne; są to najczęściej suknie lekkie wełniane lub mięsżane z jedwabiem, staniczki do nich bywają zwykle wycięte kwadratowo, albo *en coeur*, zdobne naszytym z ruloników atłasowych w kolorze jasnym. Ubranie głowy najwłaściwsze na takie zebrania są opaski zręcznie ułożone, zakończone małą kokardką ze wstążeczki atłasowej koloru odpowiedniego sukni.

Za okrycia służą tak na małe wieczorki jak i do teatru, pelerynki z białego kaszmiru lub alpagi rozmaitego fasonu. Widzeliśmy taką kształcie krótkiej rotundy, lekko podważowaną na białej jedwabnej podszewce, oszyta była trzykrotnie rulonikiem z białego atłasu i frendzlą angorową. Drugie okrycie miało kształt pelerynki szalikowej z kapturkiem wyłożonym, z atłasu białego ułożonego w pliski; cały kapturek i mantylkę otaczała rusza z kaszmiru wycinanego w ząbki, inne znowu krótkie pelerynki oszywane bywają fałdowym puszkim.

Kończąc o ubraniu kobiecym; zwracamy się do dzieci. Małe dziewczynki stroją teraz zupełnie na wzór starszych osób; też same bufy *à panier*, wolanty i rusze nastrzępione, wycięcia staników kwadratowe, wszystko jest zachowane ze ścisłością godną lepszej sprawy, gdyż to sprawia, że dziewczynki tracąc naturalny powab i swobodę ruchów właściwych wiekowi, stają się podobnymi lalkom wykwiutnie przystrojonym. Chcąc więc dać możność ubrania dzieci gustownie, bez przesady, a nadewszystko tanio; polecamy świeżo otwarty magazyn Pani Stanisławy L. we wspólnym lokalu z magazynem Pani Delich, dla którego to zakładu, radziłyśmy pozyskać uznanie Publiczności, gdyż zasługuje na to sumiennieścią i gruntowną znajomością swego zadania. Niech zająrzą tam matki oszczędne, chcące skromnych flanelkowych sukienek, i matki chrzestne chcące robić sute prezenta, szukające zatem wytwornego przystrojenia w darach swoich, a każdy gust będzie tam zadowolony. Wielki wybór sukienek gotowych, a zastosowanych do rozmaitego wieku, cechuje przedewszystkiem doskonałość materiałów, co zważywszy, że ubrania te dla dzieci są przeznaczone, nie mała ich zasługa stanowi. Oto opis niektórych:

Sukienka z pięknego kamlotu koloru *Bismark*. Spódniczka naszyta u dołu dwa razy wąską pliską z tegoż samego co suknia materiału, z pod pliski dolnej, wierzają dość duże spiczaste ząbki z atłasu tegoż samego koloru. Staniczek gładki ubrany w kształcie wycięcia kwadratowego, pliskami z kamlotu i atłasowymi ząbkami. Jako dopełnienie ubrania, dodany był pasek z przyszytą do niego tuniką, która z przodu rozchodziła się okrągło, z tyłu zaś była wysoko podpięta i przykryta tamże szeroką szarfą spadającą od paska. Szarfę tę jak również i obwód tuniki przystrajała pliska i atłasowe ząbki. Cena tej eleganczkiej sukienki była 7 rs. zastrzegamy jednak że to już była sukienka jedna z najkosztowniejszych; inne z doskonałego korciku na dziewczynkę 8 letnią naprzykład, niedroższa była nad 5 rs. Z flanelki zwyczajnych, o wiele jeszcze są tańsze, a wszystkie przybrane gustownie pliskami z materji jedwabnych.

Oprócz ubrań dla dziewczynek, są tu także i dla chłopców, dla których na codzienne użycie polecam garnitury z flanelki w małą kratkę. Garnitury te składają się z pantalonów, kamizelek i zgrabnej kurtki zapinanej na drobne guziki; cena takiego garnituru od 3 rs. 50 kop.

Okrycia tak syberyńskie jako też i wiatowane, za-

stosowane są do rozmaitego wieku, zaczawszy od dzieci noszonych na ręku, dla których długie i ciepłe płaszczyki i sukienki są najrozmaitsze.

Do uzupełnienia ubrania dla dzieci, widzieliśmy wykwiutne koszule tak dla chłopczyków jako dziewczynki wyrabiane z dobrego płótna; cena ich jest za pół tuzina 7 rs.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszwego.

Stojący kołnierzyk, robi się osobno na podstawie 4 oczek, i przyszywa do wykończonej podszewki. Pokrycie pelerynki stanowią rzadki jedną nitką włóczki odrobionych frywolitkowych rozetek, które następnie zaczepiają się z sobą, zachowując formę podszewki.

Pierwszy, nadbrzeżny rząd, formują większe rozety, podane pod N. 25 w naturalnej wielkości; każda składa się z 8 zamkniętych, połączonych z sobą pikotami kółek: każde złożone z 5 pod. węż. 1 Pik. 10 podwój. węż. 1 Pik. i jeszcze 5 pod. węż.; nitki ściągające pojedyncze kółka, obwijają się jeszcze nitką, ażeby ciśnień ściągac kółka. Mniejsze rozetki tła, składają się z 6 zupełnie jak w dużej rozecie ściągniętych i odrobionych kółek. W pasku wykładającym się jak wszywka, idzie zawsze 1 kółko także i małe kółeczko z 4 pod. węż. rycina N. 26.

Układając pasy z rozetek uważać trzeba, żeby dwie rozety dane przez środek pleców do dołu, szły także tak samo na przodach, gdzie formują brzegi podobne szlakowi danemu w około. Większe rozetki przyczepiają się do małych kółeczek. Stojący kołnierzyk formuje się z paska odrobionego podług N. 26. Czarna angorowa frendzla oszywa dół peleryny, kilka czarnych guzików, z odpowiednimi pętelkami zapinają z przodu.

N. 27 — 29. Chusteczka na drutach.

Materiał: 5 łutów kolorowej angielskiej włóczki, 3 łuty czarnej cienkiej włóczki, drewniane druty, 2 czarne guziki, 60 cent. czarnej atłasowej wstążki (4 cent. szerokiej.)

Przód i tył podany pod N. 27 i 28 przypominają nam modną chusteczkę „Lamballe“. Oglądaliśmy model taki w najstarszych składach robót damskich, wszędzie podszewka była kolorowa, robiona luźno tam i na powrót, podług formy zwyczajnym sposobem. Zaczynając od dołu na 30 oczkach, robi się zupełnie tak jak znane dotąd włóczkowe kanzutki. Tak wykończywszy, nabierają się znów podstawowe oczka pleców, odrabiając 3 cent. wysoki pasek, z 14 mniej więcej rzędów złożony.

Przyczepiony doń 8 cent. długi karoczek, powstały z 32 rzędów, z których ostatni 26 cent. szeroki, przez ciągle i równe przybieranie na ukośnych brzegach 50 cent. liczy. W koło obrobiony rząd ścisłych oczek, umacnia całość.

Robota z cienkiej włóczki stanowiąca tiulowy wierzch chusteczki, którą N. 29 w naturalnej wielkości przedstawia, wykończy się następującym sposobem:

Małe pęczki deseni, liczą każdy 4 w jednym wrobione oczku, zakończając je tak, aby dwa pierwsze podnieść, dwa ostatnie skrzyżowane przerobić razem i jedno przez drugie przewlec. Pęczki te, rozdzielone są od siebie 5 oczk. i 1 gładkim rzędkiem.

Przed połączeniem brzegów wierzchniej roboty i podszewki, trzeba pierwszą zmoczyć wodą ze spirytusem, spilkami na większej trochę formie napiąć i wysuszyć.

Szlaczek podobny do ruszki, odrobiony na drutach i wykarbowany, otacza w koło chusteczkę, i karoczek z tyłu; przy karoczku i wykroju szyi 3 cent. szeroki, na innych brzegach 4 cent. wynosi.

Nabiera się na ostatni 20, na węższy 15 oczek, i odrabia gładko wzdłuż tam i na powrót wedle potrzebnej długości. Żeby się karoczek lepiej układał, trzeba go w środku u górnego brzegu sfałdować. Pasek jedwabny lub atłasowy z rozetkami i kokardami, dopełnia całości.

N. 30. Koszyk deserowy do owoców.

Rycina przedstawia 45 cent. wysoki z ciemnego drzewa wyrzeźbiony kosz, bardzo pożyteczny przy zastawie stołu. Dół formuje głęboki okrągły koszyczek 76 cen: średnicy mający, podparty z pod spodu trzema 4 ce. wysokimi nóżkami. Od środka koszyka wychodzi pałak, 40 cent. wysoki, z rączką u góry, ozdobiony jeszcze dwoma talerzykami. Wierzchni talerzyk ma 12 otworów, na deserowe nożyki, oparte o talerzyk pod spodem będący. Sam dół spodniego koszyka, ozdabia się szlaczkiem z paciorów lub wyszycia.

N. 31 — 32. Frywolitki do stojącego kołnierzyka.

Skrócenie. Pod. węż. zamiast „podwójny węzelek“ co znaczy 1 założenie i 1 zadziergnięcie, p. zamiast „pikot“.

N. 31. Stojący kołnierzyk z frywolitek jedną nitką odrobionych. Na każde spojęne kółko większe, odrabia się 6 pod. węż., 3 zawsze 6 pod. węż. poprzedzielanych pik. i znów 6 pod. węż. Dwa na przeciw siebie będące większe kółka, łączone co drugie jednym małym (z 3 pod. węż. 1 Pik. i 3 pod. węż.) tworzą przejrzysty szlaczek, do przeciągania kolorowej aksamitki. Dalej robiąc szlaczek, trzeba nitką ściągającą, zaczepiać boczny pik. kółka, przez co wyglądają dobrze połączone. (Obacz N. 31.) Kwiatki w górze będące, które N. 31 dokładnie przedstawia, złożone są z 6 połączonych z sobą kółek, różnej wielkości, odrabianych ze środka, i zaczepianych o pikoty szlaczka.

N. 32. Stojący kołnierzyk z haftu i frywolitek o 2 nitkach. Boczne pikoty spajane, zamknięte kółka frywolitkowego szlaczka, odrobione roboczą tylko nitką, wymagają 2 pod. węż. 1 p. 5 pod. węż., 3 zawsze 3 pod. węż. poprzedzielane pik. 5 pod. węż. 1 pik. i jeszcze 2 pod. węż. Każde półkole odrobione z przybraniem nitki „pomocniczej“ liczy 3 pod. węż. 1 pik. i jeszcze 3 pod. węż. Każde piąte kółko zamknięte, formuje dosyć duży ząb; przed i po niem odrabia się „nitką pomocniczą“ 1 pod. węż. — półkole większe u samego dołu, liczy 5 pod. węż. 1 pik. i jeszcze 5 pod. węż. — Kółka będące po bokach półkola, spajają się z sobą środkowym pikotem. Tak wykonany szlaczek frywolitkowy, przyfastrzgowywał się na 4 cent. szerokim pasku podwójnego batystu, zaczepiając boczne pikoty przy odrabianiu kwiatka, atłasem lub haftem „à la minute“. Po przydzierganiu szlaczka, batyst się z pod niego wygina.

N. 33. Szyfonierka na wizytowe bilety.

Materiał: Gładka trzcinka, 14 dużych śpilek z czarnymi łebkami, biały karton, (papier) czerwony kaszmir, kolorowy kordonek i cienki złoty sznureczek.

Do rozlicznych robót, dołączamy szyfonierkę ozdobną i bardzo łatwą do pospiesznego wykonania. Podstawę jej, stanowią równo przyrzniete okrągłe trzcinki skrzyżowane do podpierania; trzymają ją każda 11 i pół centy. Odstąpiwszy na 3 centy. od dołu, składa się na krzyż, przebiega i przytwierdza dużą śpilką z czarnym łepkiem, obciąga na 2 cent., która jednocześnie utrzymuje 13 cent. długą poprzeczną sztabkę.

Z drugiej strony powtarza się to samo. Nadmieniamy, że trzcinki w miejscach gdzie się z sobą stykają, odpowiednio wykrojone być powinny. (Obacz N. 33.) Dwie 13 cent. długie sztabki, stanowią górny brzeg szyfonierki, przypięte śpilkami w odległości 1 i pół cent. od górnego brzegu poprzednich, które tak w górze jak u dołu mają na końcach czarne łebki. Obiedwie ścianki kartonowe 11 cent. szerokie a 6 wysokie, powlekają się pokryciem, ozdobionem haftem łatwym do odrobienia przy dokładności ryciny N. 33.

Medalion środkowy, długimi ściegami czarnego jedwabiu otoczony, składa się z cienkiego ukośną kratę formującego złotego sznurka, przytwierdzaną

czarnym jedwabiem. Zewnętrzne ząbki czarne, mają także białe środki i złote ściegi. Na szlaczek brzeżny robią się zewnętrzne ząbki czarne, wewnętrzne złote; trzy ściegi złote w środku, przedziela ścieg czarny; czarnym jedwabiem przymocowany sznurek złoty i małe czarne ściegi, formują podstawę szlaczka. Na narożnikach, złote i czarne nitki, stanowią korzonek z zielonemi gałązkami.

Czarna wstążeczka biała przystembnowana, łączy obiedwie, wyszyciem ozdobne, kaszmirowe czerwone ścianki. Na boki (suflety) po obu stronach sztabek przyklejone, bierze się prosty biały papier 6 cen. wysoki, 8 szeroki, oblamowany u góry wstążeczką i załamany podłużnie na 4 fałdy. Ścianka z kartonu środkowa, dzieląca na dwie części szyfonierkę, liczy 11 cent. długości, po bokach 6 i pół, w środku 12 cent. wysokości. Górny jej brzeg w zęby wycięty, obkłada się czerwonym kaszmirowym, wyszyciem jak wierzchnie ścianki. Z boków spadają niewielkie sznury z kwastami z brązowego jedwabiu, mającemi za nagłówki, gwiazdkę ze skórzaną kanwą wyciętą i czarną perełkę przewleczoną przez szydełkowy sznurek.

OGŁOSZENIA.

MAGAZYN TOWARÓW BŁAWATNYCH OKRYĆ I SUKIEN DAMSKICH JANA THONNESSA,

przy ulicy Senatorskiej wprost pałacu Prymasowskiego, otrzymał następujące towary:

Tarlatany białe, sztuczka łokci 26 po rs. 5 i 6.
Tarlatany kolorowe, sztuczka łok. 26, po rs. 1 k. 50.
Tarlatany fasonowane w najnowszych deseniach, sztuczka na suknię począwszy od rs. 6.

Musliny haftowane, sztuczka na suknię po rs. 9 i 10.

Beduiny strojne, od rs. 7.

Wachlarzarze w znacznym wyborze, jakoteż obecnie używane gładkie ze słoniowej kości.

Materie Gros Tailles i Atlasy Lyonkie we wszystkich kolorach.

Chustki jedwabne białe Crêpe de Chine.

Wstążki szerokie na szarfy.

Koronki, fanszoniki, barbki, chustki prawdziwe brukselskie, oraz z koronki Cambraie.

Rękawiczki paryżskie.

Powyższy Magazyn wykończy suknie podług ostatnich żurnali, po cenach najumiarkowańszych i w jak najkrótszym czasie; w oddzielnym zaś gabinecie, który we dnie gaz oświetla, znajdują damy pożądaną ułatwienie przy świetle sztucznem dobierania materji i kolorów odpowiednich takiemuż oświetleniu, na wystąpienia wieczorowe, koncertowe i balowe.

404—(394)

Główny Skład

AMERYKAŃSKICH MASZYN DO SZYCIA

Z Fabryki Grovera i Bakera i innych, mieści się przy ulicy Senatorskiej N 22, naprzeciw pałacu Ordynata hr. Zamojskiego.

Maszyny familijne N. 23 Grovera i Bakera szyją wszystkie szwy (oprócz przyszywania guzika i obszycia dziur), a to na wszystkich materiałach jak na: tiulu, batyste, płótnie, tybecie, atlasie, suknie, syberyjnie, aksamicie, aż do cienkiej skórki. Szew temi maszynami dokonany, jest mocny i elastyczny. Oprócz tego można na nich: haftować, przyszywać sutasz, lamować, pikować, marszczyć i t. p.

Z powodów wyżej wymienionych, maszyny te okazały się najpraktyczniejszymi, a na ostatniej Wystawie Powszechnej

w Paryżu, wystawca krzyżem Legii Honorowej nagrodzonym został.

Cena maszyny N. 23 z wszystkimi przyrządami jest rs. 75.

Gwarancja dwuletnia.

Oprócz tego polecamy:

Maszynki ręczne w pudełkach po Rs. 20 do 25.

Maszynki ręczne w szkatułkach po Rs. 27 kop. 50.

Maszyny szewskie systemu Orta po Rs. 110 i 130.

Maszyny dla wojska i t. p.

(15,817)

PRACOWNIA

SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH

Izabelli Siarczyńskiej.

w domu N. 431 (nowy 49), przy ulicy Krakowskiej Przedmieście, wprost ulicy Bednarskiej, nad Apteką.

Poleca się z najstaranniejszym wykończeniem tak zwykłych sukien i okryć, jak i balowych i ślubnych, a to po cenach najumiarkowańszych, o czym z następujących cyfr przekonać się można. Od roboty zwykłej wełnianej sukni rs. 1 k. 20; od jedwabnej rs. 2 kop. 70; od balowej strojnej rs. 3 do 4, od kaftana aksamitnego rs. 2 do 4 i t. d. Każdy obstałunek dostawianym jest na czas umówiony jak najpункtualniej. — 349—(223).

Korespondencja.

Pani Amelji S. Jeżeli suknia jedwabna nie ma plam, tylko uległa spłowieniu, to się da ufarbować na kolor szafirowy.

Pani Rozalji L. Prosiemy o przysłanie koszuli, gdyż papierowa miara nie jest dostateczną do uszycia bielizny. Tuzin męskich rękawiczek kosztuje rs. 10.

Pani Wandzie Przeci. Czekamy na odpowiedź tyżącą się roboty sukni jedwabnej.

Pani Bogu. Kolja z lawy kosztuje od 2 do 3 rs. Pani Stefanji Imie: Do półrocznej prenumeraty brakuje rs. 2.

Pani Zofii B. Podług przysłanej próbki nie można dobrać pokrycia na meble. Wyrób taki bardzo jest dawny i dla tego nie znajduje się w magazynach.

Pani Annie W. Ładny wachlarz kosztuje rs. 6. Kaptur biały kaszmirowy od rs. 8 do 9.

Pani Władysławie S. Deseń na haft kolorowy można wynająć bardzo tanio; dany zastaw odbiera się przy zwrocie deseni.

Pani Tu. w Niemirowie. Żądanej książki do nabożeństwa znaleźć nie można w księgarniach.

Pani Marji Re. Krawatka futrzanna bardzo właściwa nawet do salopy podbitej futrem. Przy salopie powinien być kołnierzyk z wierzchniego materiału.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawy, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.